PL ISSN 0239-2720
Nr indeksu 365661

magazyn 997 kryminalny

NR 3 (1870) ● 21 I 1990 ● CENA 800 ZŁ

- OKRADLI CIĘ? – SZUKAJ W „SEZAMIE 997"
- DZIECI ULICY
- KOMISARIAT PRZY ZAMKU
- POGOTOWIE SEKSUALNE
- MILICJANT ZABÓJCĄ
- NAPADY NA STARUSZKÓW
- NAJMRODZKI STORY (II)

2 1990

zdjęcia Krzysztof Mokrzyszewski

zdjęcie Krzysztof Potocki

SECURITATE

Powstanie ludowe i obalenie dyktatury Nicolae Ceausescu w Rumunii odbiło się szerokim echem w całym świecie. Wydarzenia w tym kraju wstrząsnęły opinią publiczną. Przecież jeszcze pod koniec listopada 1989 r. na XIV zjeździe Rumuńskiej Partii Komunistycznej Ceausescu zapowiadał triumfalny marsz „ku wysokim, złocistym szczytom społeczeństwa komunistycznego". Pięciogodzinne przemówienie wodza przerywano owacjami. Obliczono, że 62 razy klaskano stojąc i 39 razy nie podnosząc się z miejsca.

zdj. Wiesław Sumiński

NIEBEZPIECZNA BEZPIEKA

Rozstrzelany z wyroku specjalnego sądu wojskowego przywódca rumuński przez wiele lat był ulubieńcem Zachodu. W tym czasie, przynajmniej do połowy lat siedemdziesiątych, bardziej niż prawa człowieka ważyły na ocenach dokonywanych przez kapitalistycznych mężów stanu takie przejawy samodzielności politycznej Rumunii, jak: dystans w stosunku do ZSRR, utrzymywanie więzi dyplomatycznej z Izraelem, powstrzymywanie się od interwencji w Czechosłowacji, samodzielna polityka zagraniczna podczas KBWE w Helsinkach itd., itp. Nicolae i Elena Ceausescu cieszyli się więc dużym uznaniem. Otrzymywali zagraniczne tytuły honorowe i naukowe, łącznie ze szlachectwem nadanym przez królową brytyjską. Dopiero procesy liberalizacji w innych krajach bloku wschodniego zmieniły zachodni sposób patrzenia na Rumunię. Myślę, że warto o tym pamiętać.

Krwawy dramat Rumunii wywołał zaciekawienie m.in. strukturą rumuńskich organów bezpieczeństwa, z których rekrutowali się członkowie złowieszczej Securitate. Mówił na ten temat w telewizji rzecznik prasowy ministra spraw wewnętrznych ppłk Wojciech Garstka. Podkreślił on zwłaszcza, że pomiędzy naszymi resortami od dawna już nie istniała współpraca. Można dodać, że została ona zerwana przez stronę rumuńską, co jednak przyjęliśmy bez żalu. Potwierdzają to doświadczenia z redakcyjnego podwórka. Gdzieś około roku 1980 Rumuni przestali przysyłać do naszej redakcji swój organ resortowy „Pentru Patrie". Ten kolorowy tygodnik w każdym numerze ozdabiało dobrze zretuszowane zdjęcie wiecznie młodego Nicolae. Od czasów „pierwszej Solidarności" Rumuni nie mieli do nas zaufania. Strona polska z kolei nie kryła zastrzeżeń co do metod sprawowania władzy w tym kraju oraz działania tamtejszych organów bezpieczeństwa.

Jak wyglądała za czasów Ceausescu struktura rumuńskich służb specjalnych (Front Ocalenia Narodowego jednym z pierwszych dekretów podporządkował organa bezpieczeństwa siłom zbrojnym)?

W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych SRR działało 7 głównych pionów: Służba Bezpieczeństwa Publicznego (Securitate), Służba Milicji, Komenda Główna Straży Pożarnych, dowództwo Wojsk Wewnętrznych, dyrekcja Służby Więziennej, kadry i szkolenie, Biuro Paszportowe.

W przeciwieństwie do większości państw świata, gdzie dominują siły policyjne, główną pozycję w resorcie spraw wewnętrznych zajmowała Służba Bezpieczeństwa Publicznego. Liczyła ona około 60 proc. całości resortu (łącznie służyło w nim 125 tys. osób, w porównaniu do 140—170 tys. żołnierzy resortu obrony narodowej). Securitate roztaczała kontrolę nad wszystkimi dziedzinami życia, instytucjami i zakładami pracy. Podlegała, właściwie bezpośrednio, Politycznemu Komitetowi Wykonawczemu KC RPK. Między służbą bezpieczeństwa a partią istniała szeroko rozbudowana rotacja kadr kierowniczych. Problemami bezpieczeństwa zajmowali się osobiście Nicolae i Elena Ceausescu.

Securitate rozpracowywała i eliminowała politycznych przeciwników dyktatury, zajmowała się ochroną gospodarki, kontrwywiadem, izolacją społeczeństwa od zagranicy, ochroną tajemnicy państwowej i służbowej (jej zakres przybierał absurdalne rozmiary), działalnością o charakterze wywiadowczym. Dzieliła się na 6 pionów zwanych dyrekcjami, w których wyróżniały się zwłaszcza znienawidzona w wojsku Dyrekcja IV (ochrona kadr i obiektów MON i MSW) oraz Dyrekcja V (wywiad zagraniczny i ochrona władz — wychodzono bowiem z założenia, że zagrożenia dla kierownictwa państwa mają głównie zewnętrzny charakter). W swym działaniu Securitate korzystała z pomocy: techniki operacyjnej, obserwacji, podsłuchów telefonicznych, przeglądów korespondencji itp.

Na czele Służby Bezpieczeństwa Publicznego stał I zastępca ministra spraw wewnętrznych, 58 letni gen. płk (odpowiednik gen. broni) dr praw Juljan Vlad, członek KC RPK i deputowany do Wielkiego Zgromadzenia Narodowego. Łączyły go osobiste stosunki z Nicolae Ceausescu. Wśród podwładnych był bardzo popularny, miał opinię człowieka energicznego. W okresie powstania przeciwko dyktaturze zaapelował podobno o jego poparcie i nie stawianie oporu wojsku. Został jednak aresztowany przez nowe władze.

Na szczególną uwagę w strukturze Securitate zasługiwały poddziały zwarte liczące około 25 tys. osób zorganizowanych w 19 batalionach specjalnych, z których 4 stacjonowały w Bukareszcie, większość zaś w Siedmiogrodzie. Były to jednostki elitarne, szkolone do walki na sposób komandosów, wyposażone w broń maszynową i moździerze, transportery opancerzone, śmigłowce, kamizelki kuloodporne, karabiny z celownikiem optycznym, rewolwery itd., itp. To właśnie te doborowe jednostki, znające metody dywersji, sabotażu i walki wręcz, okazały się wierne Ceausescu. Prowadziły one (zwłaszcza licząca 2 tysiące osób ochrona wodza) uporczywe działania przeciwko siłom zbrojnym i powstańcom, nie szczędząc przy tym ludności i obiektów cywilnych, wyróżniając się fanatyzmem i zaciętością.

Warto również podkreślić, że pozostałe służby rumuńskiego resortu spraw wewnętrznych z reguły zachowały neutralność lub też przyłączyły się do powstania przeciwko Ceausescu wraz z kadrą kierowniczą. Rozmiary tego zjawiska nie są na razie znane. Wszystkie informacje napływające z Rumunii, w której wygasły walki, są dalekie od obiektywizmu i często z sobą sprzeczne (np. liczba ofiar, udział obcych najemników, okoliczności schwytania i stracenia małżonków Ceausescu itp.).

Funkcjonariusze i żołnierze polskiego resortu Spraw wewnętrznych spełnili humanitarny obowiązek oddając krew oraz uczestnicząc w składkach darów pieniężnych i rzeczowych na rzecz nowej Rumunii.

MARCEL TABOR

SĄ ZWIĄZKI W MO

W dniach od 9 do 10 stycznia 1990 roku w Kiekrzu koło Poznania odbył się Krajowy Zjazd Grup Inicjatywnych i Komitetów Założycielskich NSZZ Funkcjonariuszy MO. W zjeździe wzięło udział 267 funkcjonariuszy reprezentujących 49 województw, 6 szkół resortowych oraz KG MO. Uczestniczyli także, na statusie obserwatorów, przedstawiciele Rad Funkcjonariuszy.

Zjazd wyłonił krajową komisję koordynacyjną NSZZ Funkcjonariuszy MO oraz podjął prace nad tworzeniem związku.

Siedzibą KKK — ustalono — będzie Gdańsk. Wyłoniono 5 komisji problemowych: statutową, programową, postulatów i interwencji, szkół resortowych oraz ds. legislacyjnych, które przyjęły komunikaty stanowiące wytyczne do działania KKK.

Krajowa Komisja Koordynacyjna składa się z 55 osób. Po jednym przedstawicielu z każdego województwa, szkół resortowych oraz KG MO. Ze swego grona KK wyłoniła 15-osobowe prezydium oraz 5-osobowy sekretariat. Przewodniczącym KK wybrano kpt. Romana Hulę z Piekar Śląskich. Na funkcję z-ców wybrano: kpt. Ryszarda Bernackiego z Gdańska, st. kpr. Kazimierza Janiaka z Elbląga oraz st. sierż. rez. Jana Jabłońskiego z Warszawy.

C.

ZMIANY KADROWE

Kontynuowane są zmiany na kierowniczych stanowiskach w resorcie spraw wewnętrznych. 8 stycznia br. minister spraw wewnętrznych podjął decyzję o odwołaniu ze stanowiska szefa WUSW w Gdańsku gen. bryg. Jerzego Andrzejewskiego na jego własną prośbę. Jednocześnie minister spraw wewnętrznych powołał czasowo do pełnienia obowiązków na tym stanowisku gen. bryg. Zbigniewa Nowickiego — zastępcę komendanta głównego MO. Dotychczas nie przerwało to akcji protestacyjnej gdańskich funkcjonariuszy, którzy domagają się również odwołania zastępców szefa WUSW.

Gen. broni Czesław Kiszczak odwołał również z zajmowanych stanowisk ze względu na stan zdrowia szefa WUSW w Bydgoszczy gen. bryg. Józefa Kozdrę oraz zastępcę szefa WUSW w Jeleniej Górze — płk. Wacława Zaracha.

MILICJA INFORMUJE

(Wybór zdarzeń kryminalnych)

ZABÓJSTWA

● 1 stycznia 1990 r. na ul. Łukasiewicza w Płocku odnaleziono zwłoki mężczyzny z licznymi ranami kłutymi klatki piersiowej. Ustalono, że jest to Kazimierz A., właściciel taksówki. Sprawca zabójstwa odjechał tym samochodem w nieznanym kierunku.

● Tego samego dnia w lesie w miejscowości Ostropa (katowickie) ujawniono zwłoki myśliwego Marka Sz. z obrażeniami czaszki. Sprawcy zabójstwa zrabowali broń wraz z amunicją i dokumenty.

● 3 stycznia 1990 r. we Wrocławiu znaleziono w mieszkaniu przy ul. Legnickiej zwłoki Brunona S. z obrażeniami głowy. Według lekarza zgon nastąpił przed 2 tygodniami. Zabójstwo miało charakter rabunkowy.

OJCIEC I SYN

● 27 grudnia 1989 r. w Skarżysku-Kamiennej będący pod wpływem alkoholu Jerzy M. pobił swoją matkę Zofię M. (lat 65), która zmarła w wyniku odniesionych obrażeń. Sprawcę zatrzymano do dyspozycji prokuratora.

● 28 grudnia 1989 r. w Warszawie w mieszkaniu przy ul. Baonu „Zośka" ujawniono zwłoki Krystyny Ch. W wyniku podjętych czynności ustalono i zatrzymano sprawców zabójstwa. Są nimi Mirosław Ch. (syn) i Henryk Ch. (mąż) zamordowanej.

● 30 grudnia 1989 r. w Warszawie przy ul. Nowolipie ujawniono zwłoki Mieczysławy H. (lat 72) z raną kłutą pleców. Milicja ustaliła sprawcę zabójstwa i kradzieży. Jest nim nie pracujący karany wnuk ofiary Stanisław S. (lat 21).

PRZESTĘPCY W MUNDURACH

● 27 grudnia 1989 r. o godz. 0.15 w Rudniku (katowickie) 2 pasażerów przy użyciu noża usiłowało dokonać rozboju na kierowcy taksówki Danielu Sz. W wyniku pościgu sprawcy zostali zatrzymani. Okazali się nimi Józef S., odbywający służbę wojskową w obronie cywilnej, i Bronisław D.

● 28 grudnia 1989 r. o godz. 9.00 w Krakowie kilku sprawców dokonało napadu na mieszkanie Aleksandra S. Pobili oni właściciela przy pomocy siekiery powodując jego śmierć. Milicja zatrzymała Rafała M., junaka obrony cywilnej. Trwają czynności zmierzające do zatrzymania pozostałych sprawców.

● 29 grudnia 1989 r. o godz. 0.20 w Piotrkowie Trybunalskim zatrzymano na gorącym uczynku włamania do sklepu odzieżowego st. sierż. Jerzego S., kontrolera ruchu drogowego RUSW. Był on pod wpływem alkoholu.

● 30 grudnia 1989 r. o godz. 20.10 w Gliwicach dokonano napadu na mieszkanie Jana Z. (lat 76). Po pobiciu wymienionego sprawcy zrabowali pieniądze, dewizy i cenne przedmioty. Funkcjonariusze MO zatrzymali jednego ze sprawców, którym okazał się Piotr M., żołnierz. Odzyskano część łupu oraz legitymację emerycką.

KOŚCIOŁY ZAGROŻONE

● 27 grudnia 1989 r. RUSW w Złotoryi (legnickie) powiadomiony został o włamaniu do kościoła rzymskokatolickiego w Grodźcu. Sprawcy po wybiciu szyby w oknie i rozgięciu krat dostali się do wewnątrz, otworzyli tabernakulum i skradli naczynia liturgiczne. Milicja zatrzymała Henryka K., nie pracującego, zwolnionego z zakładu karnego na mocy amnestii. Mienie odzyskano w całości.

● 28 grudnia 1989 r. w Krakowie dokonano włamania do Polskiego Kościoła Chrześcijan Baptystów. Z kancelarii kościoła skradziono telewizor kolorowy, gitarę, kasety wideo i magnetofonowe.

RESORTOWE ZAWODOWE w Gdańsku

Oddolna inicjatywa zmierzająca do utworzenia związku zawodowego funkcjonariuszy MO trafiła w Gdańsku na wyjątkowo podatny grunt. Postępująca utrata kontroli nad falą przestępczości pospolitej i innymi przejawami patologii, poczucie wyalienowania milicji ze społeczeństwa, brak zaufania do przedstawicieli kierownictwa MSW oraz miejscowego WUSW — znalazły się u podstaw spontanicznego tworzenia ruchu związkowego.

Chcemy współdecydować, chcemy autentycznej odnowy — mówią związkowcy. — Po to, by ustrzec się w przyszłości przed sytuacją tak trudną jak dzisiejsza.

Za najważniejszy cel związków uznawane jest stworzenie ochrony funkcjonariusza w służbie i poza nią, ze szczególnym uwzględnieniem ochrony prawnej. Ponadto: zapewnienie właściwych warunków pełnienia służby i szkolenia funkcjonariuszy, jasne wytyczenie zakresu obowiązków i metod pracy, współpartnerstwo wobec pracodawcy, wyrażające się w funkcji kontrolno-doradczej związków (m.in. dbałość o prawidłową politykę kadrową, sprawy nagród i kar).

Funkcjonariusz musi stać się **podmiotem** wszelkich działań, zamiast ślepo posłusznego, pozbawionego twarzy i godności wykonawcy zlecanych zadań.

JOL

Z listów — SKUTECZNE DZIAŁANIE

Szanowna Redakcjo! Chciałbym podziękować funkcjonariuszom Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Nysie, za błyskawiczne wykrycie sprawców włamania do mieszkania. Gdy dowiedziałem się o włamaniu do mieszkania zięcia, natychmiast udałem się na miejsce. Po otwarciu drzwi zobaczyłem obydwa pomieszczenia zdemolowane, szyby wybite, meble poniszczone, fotele poprzewracane. Natychmiast udałem się do najbliższego telefonu, aby powiadomić MO. Nie trwało 20 minut i zjawiła się grupa śledcza, którą dowodził st. chor. Ryś — dzielnicowy. Po sporządzeniu protokółów stwierdzono, że straty wyniosły około 3 milionów złotych. Nadmieniam, że zięć i córka są obecnie za granicą. Gdy okazało się, że dzwonił dzielnicowy abym przyszedł do milicji, bo sprawcy zostali wykryci, ucieszyłem się. Odzyskałem wszystkie skradzione rzeczy. Pragnę w imieniu własnym i zięcia podziękować panu dzielnicowemu Rysiowi, jak i jego współpracownikom za błyskawiczne wykrycie sprawców.

Jan Jalocha (Nysa)

Kartki z NOTESU

W nowy rok wchodziliśmy z takim impetem, że zabrakło czasu na zaprezentowanie Szanownym Czytelnikom naszego „nowego" pisma. Dla jednych jest ono bowiem nowe, dla innych stare. „Magazyn Kryminalny 997" ma swoje tradycje. Systematycznie, jako numer specjalny tygodnika „W służbie narodu", zaczął ukazywać się w pamiętnym 1980 roku. Najpierw nieśmiało, dwa razy w roku, później co dwa miesiące, w ubiegłym roku już jako miesięcznik. Obecnie dwa razy w miesiącu, w pierwszą i trzecią niedzielę, pod tytułem bardziej odpowiadającym zawartości pisma.

*

Na polskim rynku wydawniczym nie ma pisma o podobnym profilu. W „MK 997" reportaże kryminalne z pierwszej ręki, sporo wiadomości o kuchni milicyjnej i policyjnej, technice i taktyce dochodzenia od nitki do kłębka, czyli od przestępstwa do przestępcy. Nasze pismo ma charakter prewencyjny: ostrzega przed zbrodnią i zbrodniarzami, udziela rad, jak uniknąć spotkania z kieszonkowcem i włamywaczem, uczy zwalczania patologii społecznych.

Nasze hasło Z MAGAZYNEM KRYMINALNYM BEZPIECZNIEJ będziemy realizowali wespół z Czytelnikami. Tak było dotąd. Ale chcemy to robić lepiej i skuteczniej. Zapraszamy na łamy „MK 997".

*

Nie ukrywam, że trochę liczę na zjednanie sojuszników dla ciężkiej i trudnej pracy tysięcy dzielnicowych i posterunkowych, pracowników służby kryminalnej i drogowej. To tacy sami ludzie, jak Ty, Drogi Czytelniku. Liczę przede wszystkim na zrozumienie i pojednanie. Nie chodzi mi o miłość. Wystarczy szacunek. Oczywiście zapracowany w dobrej służbie dla obywateli.

*

Do tej służby garną się młodzi ludzie. Dziewczęta i chłopcy. Redakcja otrzymuje setki listów od tych, którzy widzą swoją przyszłość w służbie prawa.

Listów obecnie jest jakby więcej, bo i więcej prawa w kraju.

Otrzymałem ostatnio dramatyczny list od Agnieszki z Warszawy. Przytaczam go w całości. „Droga Redakcjo! Zwracam się do Ciebie z prośbą o pomoc, a mianowicie proszę o poinformowanie, gdzie jest szkoła milicyjna dla dziewczyn i jakie są warunki przyjęcia do niej. Pytałam już wszystkich moich znajomych i taty, ale oni nie mają pojęcia co i jak. Oglądam wszystkie programy „997" z nadzieją, że może tam coś powiedzą, czytam już od dawna waszą gazetę od deski do deski. O wiele prościej byłoby, gdybym była chłopcem, ale co mogę poradzić na to, że nie ma poboru do wojska dla dziewczyn. Niektórzy uważają, że jestem stuknięta... Od najmłodszych lat mówiłam, że zostanę milicjantką, ale nie w „drogówce" tylko w wydziale kryminalnym lub dochodzeniowo-śledczym. Mam taką naturę, że jak sobie coś ubzduram to zazwyczaj dopnę swego. Od kl. II do V uczyłam się i doskonaliłam swoje pływanie, natomiast od VI aż do teraz chodzę na strzelnicę sportową WKS „Kadra" (pistolet kulowy i pneumatyczny) i to tylko po to, żeby zostać milicjantką. Rodzice mówią, że to z wiekiem minie, ale ja nie ustępuję. Dziewczyny mogą być lepsze od chłopaków, sprytniejsze. Nie liczy się tylko siła. Jesteście moją ostatnią deską ratunku, która może mi pomóc..."

Agnieszka jest uczennicą szkoły podstawowej. Ma jeszcze trochę czasu do namysłu. Bo jeszcze szkoła średnia, studia... Cały świat przed Tobą, Agnieszko.

*

Sądzę, że Agnieszka odezwie się za parę lat. Teraz zapraszam do ogniw kadrowych mężczyzn „po wojsku". Nic tak dobrze nie robi dla chorowitego organizmu, jak świeża krew.

*

To, co się dzieje na rynku wydawniczym przechodzi ludzkie wyobrażenie. Jako długoletni członek zespołu redakcyjnego mocno przeżywam obecną galopadę cenową, która dotknęła również nasze pismo. Wiem, co to oznacza. Numer pierwszy „MK 997" miał kosztować 500 zł. W ostatniej chwili dodaliśmy jeszcze 300, bo do druku nakładu został użyty papier w cenie cztery tysiące złotych za kilogram (przedtem 800). Podobno kilkakrotnie wzrosną koszty usług drukarskich. Czy wierności pismu nie przelicytuje cena?

Wiktor

Funkcjonariusze MO zatrzymali sprawców włamania wraz z łupem. Okazali się nimi: Franciszek P., Jacek K. i Janusz Sz.

● 30 grudnia 1989 r. w Legnicy ujawniono włamanie do budynku Kongregacji Wyznania Mojżeszowego. Skradziono produkty żywnościowe wartości 1 392 000 zł.

MAJĄTEK W TOREBCE

● 29 grudnia 1989 r. w aptece w Nowym Sączu przy ul. Rynek nieznany sprawca wykorzystując nieuwagę Zofii P. skradł jej portmonetkę z zawartością pieniędzy i dewiz łącznej wartości 20 mln zł.

NAPADY CIĄGLE GROŹNE

● 27 grudnia 1989 r. w południe w Łodzi na klatce schodowej przy ul. Limanowskiego nieznani sprawcy pobili i związali listonosza Dariusza P. kradnąc mu z torby 12 mln zł.

● 29 grudnia 1989 r. o godz. 12.00 do mieszkania Wiesławy C. w Łodzi przy ul. 11 listopada, gdzie przebywali synowie właścicielki i ich czternastoletni kolega, wtargnęło 3 nietrzeźwych sprawców. Jeden z nich miał milicyjną czapkę. Po sterroryzowaniu chłopców pistoletem zrabowali oni sprzęt audiowizualny, radiomagnetofon i kasety.

● 2 stycznia 1990 r. o godz. 19.00 w Krakowie w pobliżu miejsca zamieszkania nieznani sprawcy napadli na Tadeusza N., którego pobili, po czym zrabowali mu biżuterię, kilka tysięcy dolarów i marek zachodnioniemieckich oraz 400 tys. zł.

● 3 stycznia 1990 r. w nocy w Surażu (białostockie) 2 mężczyźni wtargnęli do mieszkania Janiny S. (lat 75). Grożąc użyciem noża zażądali pieniędzy. Zrabowali zastawę stołową, serwis do kawy, pościel i książki łącznej wartości 5 mln zł. Pies tropiący doprowadził funkcjonariuszy do budynku, gdzie znaleziono łup i zatrzymano Dariusza K., a następnie Józefa L., karanego. Obydwu osadzono w areszcie.

● Tego samego dnia w Lublinie przy ul. Kalinowszczyzna 2 mężczyzn zaatakowało Halinę W. Zranili ją nożem w brzuch i zrabowali torbę z zawartością 3 620 tys. zł.

WŁAMANIE ZA WŁAMANIEM

● 26 grudnia 1989 r. w Warszawie przy ul. Korkowej ujawniono włamanie do domu jednorodzinnego Krzysztofa K. Nieznani sprawcy skradli sprzęt audiowizualny, futra, kożuchy i artykuły spożywcze o wartości 35 760 000 zł i 1797 dolarów USA.

● 27 grudnia 1989 r. w Katowicach ujawniono włamanie do sklepu WPHW „Ślązak". Sprawcy po wybiciu szyby weszli do sklepu, skąd skradli różne przedmioty o wartości około 100 mln zł.

oprac. MAT

UWAGA CZYTELNICY!

Już w jednym z następnych numerów „Magazynu Kryminalnego 997" rozpoczynamy kolejną story, tym razem o niezwykłych przygodach odbywającego obecnie karę pozbawienia wolności JERZEGO MALISZEWSKIEGO vel NIEROBISZA — kaskadera przestępczego świata.

Nasze hasło: Z MAGAZYNEM KRYMINALNYM BEZPIECZNIEJ. Czytajcie trzeci numer „MK 997", który ukaże się z datą 4 lutego 1990 roku!

CO 9 MINUT PRZESTĘPSTWO

Rozmowa z naczelnikiem wydziału kryminalnego SUSW ppłk. KRZYSZTOFEM JABŁOŃSKIM

— Z danych statystycznych wynika, że w 1989 roku w stolicy popełniono ponad 60 000 przestępstw?

— Jak na blisko dwumilionowe miasto nie jest to liczba zastraszająca, ale... 170 przestępstw dziennie, co 9 minut przestępstwo brzmi już groźnie.

W ciągu 11 miesięcy ub. roku (rozmawiamy 20 grudnia — przyp. E. C.) dokonano w stolicy 54 zabójstwa, 95 zgwałceń, 1135 rozbojów, 16 700 włamań na szkodę prywatną, 3919 włamań na szkodę społeczną, 7500 kradzieży mienia prywatnego, ponad 17 000 włamań do samochodów, 1572 kradzieże samochodów itd., itd.

— Największą panikę wywołały chyba zabójstwa na Starym Mieście?

— Wszystkie zabójstwa zawsze budzą grozę. Te na Starym Mieście były jednak szczególnie okrutne. Dokonała ich, najprawdopodobniej, bo sprawców jeszcze nie znamy, grupa osób wywodząca się ze środowiska kryminalnego, o czym świadczyć może sposób dostania się do mieszkania, krępowania osób, wielka, prawie irracjonalna agresywność w działaniu. Z 4 zabójstw i 1 napadu dokonanych na Starym Mieście 2 miały prawie identyczny modus operandi, pozostałe nieco inny, choć nie wykluczający działania tej samej grupy przestępców.

Na miejscu zbrodni zabezpieczyliśmy ślady, które mogą być materiałem porównawczym do identyfikacji sprawców. Zabezpieczyliśmy również wykaz i opis przedmiotów, które zostały skradzione w mieszkaniach ofiar. Dysponujemy ponadto portretem pamięciowym jednego ze sprawców. Specjalnie powołana grupa z wydziału kryminalnego SUSW nieustannie pracuje nad identyfikacją i wykryciem zabójców.

Dla mnie wstrząsające również było zabójstwo chłopca przed kawiarnią „Hybrydy". Przestępstwa dokonali 4 rówieśnicy. Jeden z nich wcześniej brał udział w napadzie na lokal PPS RD, oddano go wówczas pod dozór milicyjny, drugi wywodził się z grupy zadymiarzy, którzy „wsławili się" rozpędzaniem publiczności z koncertu bitowego.

Napadli na człowieka i zabili go dla 300 złotych.

— W tym roku było w stolicy sporo groźnych napadów?

— Dla milicjantów najgroźniejsze i zawsze najtrudniejsze są te, w których sprawca podaje się za funkcjonariusza MO. W minionym roku zdarzyły się 2 tego typu napady. Pierwszy na cinkciarza udającego się do „pracy", któremu zabrano kilkanaście tysięcy dolarów i kilka milionów złotych a następnie skuto kajdankami i pozostawiono w samochodzie. Drugi na mieszkanie pewnej bardzo zamożnej osoby ze Śródmieścia. W obu napadach ustalono portrety pamięciowe sprawców. Sprawdzono bardzo dokładnie środowisko funkcjonariuszy. Sprawcę jednego z napadów wykryto — nie wywodził się ze środowiska milicyjnego, w sprawie drugiego napadu ślady też prowadzą do innego środowiska.

Z ciekawostek mamy np. w wydziale legitymację Interpolu, którą najprawdopodobniej wykorzystywano w celach przestępczych. Szukamy na to dowodów...

— Sądzę, że nie liczba przestępstw a niska ich wykrywalność powoduje, iż społeczeństwo stolicy czuje się zagrożone?

— Istotnie jest źle. W stolicy (za 11 miesięcy) wskaźnik wykrywalności przestępstw kryminalnych wynosił 21,3 proc. Na pocieszenie dodać można, że wykryto 80 proc. sprawców zabójstw, 57,8 proc. zgwałceń, ale sprawców rozbojów już tylko 25,4 proc. Usprawiedliwia się to wprawdzie wiktymologiczną rolą ofiary, czyli faktem, że ponad 80 proc. poszkodowanych w chwili dokonywania na nich rozboju było w stanie nietrzeźwym, nie umiało podać rysopisów sprawców lub zbyt późno zgłosiło zameldowanie o przestępstwie. Ale już wskaźnik wykrywalności włamań do obiektów społecznych 14,6 proc., do obiektów prywatnych 10,8 proc. czy kradzieży mienia prywatnego — 20,4 proc. nie satysfakcjonuje ani poszkodowanych, ani nas. Choć należy powiedzieć, że podawanie wyników niepełnych — z 11 miesięcy jest wyjątkowo niekorzystne. Wiele spraw jest w toku. Wydziały dochodzeniowo-śledcze i prokuratury nie są w stanie przerobić tej masówki. A statystyka mówi o sprawach zakończonych.

— Jednak jest źle?

— Na sukces milicji kryminalnej pracuje milicja prewencyjna i drogowa, a przede wszystkim dzielnicowi. Kiedyś, gdy jako inspektor sekcji zabójstw przyjeżdżałem na miejsce zdarzenia czekał już na mnie dzielnicowy, który znał mieszkańców, potrafił mi pomóc w zdobyciu informacji nie tylko o ofierze ale i o jej środowisku. Dziś na inspektora milicji kryminalnej nikt nie czeka, bo dzielnicowego albo nie ma, albo wypełnia papierki. Dziś jest zbyt mała penetracja środowiska przestępczego. Brak środków finansowych ogranicza również pracę z konfidentami, a nie jest przecież tajemnicą, że policja na całym świecie kupuje informacje o przestępcach. Wieloosobowe, wyspecjalizowane grupy przestępcze ujawnia się zazwyczaj wychodząc nie od zdarzenia a od środowiska. I u nas te duże sprawy, które „wyszły" prowadzone były policyjną metodą.

— Ale to tylko część prawdy. Druga to zawodowe umiejętności milicji kryminalnej?

— I stabilność kadr. Gdyby np. przeprowadzić analizę poziomu wykształcenia inspektorów wydziału kryminalnego SUSW, to przedstawia się znakomicie. 50 proc. wykształcenie wyższe, pozostali średnie, wszyscy są absolwentami oficerskich lub podoficerskich szkół resortowych. Tylko w tym zawodzie bardziej od dyplomu liczy się doświadczenie, wyczucie, sposób nawiązywania kontaktów z ludźmi, policyjny zmysł i talent. Detektywem albo człowiek jest, albo już nigdy nie będzie. Tymczasem u nas jest tak, że inwestujemy w człowieka, kształcimy go, pomagamy osiągnąć wysokie umiejętności zawodowe, ale awansować możemy go najwyżej do stopnia kapitana i kierownika sekcji. A jeśli nadal jest dobry i zależy mu na zawodowych sukcesach, musi zmienić wydział. I tak zamiast awansować „poziomo", czyli np. z młodszego inspektora na inspektora, starszego inspektora, mł. detektywa, detektywa, starszego detektywa — co wiązałoby się z odpowiednimi uposażeniami i dawało satysfakcję, my nie chcąc zamykać utalentowanym drogi do zawodowej kariery, przenosimy ich na komendantów komisariatów, inspektorów w centrali, na kierownicze stanowiska w DUSW. Dlatego byłbym za pożegnaniem, w ramach reformy milicji, struktury wojskowej na rzecz administracyjnej.

— Ale jak długo można pełnić służbę w „policji" kryminalnej bez uszczerbku dla zdrowia i własnej psychiki?

— Są tacy, którzy po pierwszym wyjeździe np. na miejsce zabójstwa przeżywają tak wielki stres, że powinni sobie ten zawód odpuścić. Ale są i tacy, którzy rezygnują z awansu, większego wynagrodzenia, by tylko pracować w „policji" kryminalnej. Dochodzenie do prawdy, ściganie tych, którzy zagrażają ludziom, budzą lęk, powodują nieszczęścia może stać się pasją uczciwego, wrażliwego człowieka.

— Ten zawód jest raczej dla ludzi zdecydowanych w działaniu, nie chciałabym użyć określenia brutalnych?

— Na całym świecie policja kryminalna najpierw obezwładnia przestępcę a potem mu się przedstawia. Zdecydowane działanie — to elementarna zasada, którą musi znać i respektować milicjant czy policjant zajmujący się ściganiem przestępców.

— Czy u pana biją?

— Nie. Nie było skarg ani nie prowadzono postępowań wyjaśniających wobec milicjantów z wydziału kryminalnego SUSW. U nas, to jeden z warunków tej służby, pracują tylko sprawni fizycznie funkcjonariusze, którzy znają i potrafią zastosować chwyty obezwładniające przeciwnika. Ale to nie ma nic wspólnego z biciem czy odgrywaniem się na przestępcy. W tej „grze" przestępca-policjant walka jest uczciwa, zwycięża lepszy. I dobrze jest, gdy tym lepszym jest ten, który chroni społeczeństwo.

— Wydawać by się mogło, że marzeniem każdego młodego milicjanta powinno być dojście do służby w „policji" kryminalnej?

— Ja też tak uważałem, gdy po ukończeniu Wydziału Prawa na Uniwersytecie Warszawskim podjąłem służbę w milicji kryminalnej. Myślałem, że to wielkie wyróżnienie. Służba wymagająca fachowości, wiedzy z różnych dziedzin życia — a więc rozwijająca, uczciwa w swoich założeniach, bo jeśli ktoś zabił człowieka, to trzeba go ująć, by więcej już nie zabijał, jeśli okradł, to musi ponieść karę, by nie niszczył dorobku życia innych ludzi. Ale młodzi chyba tak dziś nie myślą. W wydziale mam 30 proc. wakatów i jakoś nikt nie pcha się do tej najciekawszej ze służb.

— A może to sprawa wynagrodzenia?

— Inspektor milicji kryminalnej SUSW zarabia, w zależności od stopnia i stażu służby, ok. 400 000 do 600 000 zł miesięcznie. Nie jest to dużo, skoro w dzisiejszym „Życiu Warszawy" przeczytałem ogłoszenie, że jeden z zakładów pracy poszukuje zaopatrzeniowca — wynagrodzenie w granicach 800 000 zł miesięcznie, gdzieś tam potrzebny kucharz za 900 000 zł miesięcznie, a pan

Grobelny kusi już zarobkami w wysokości 1 000 000 zł. Milicjant służby kryminalnej jest też bardzo dobrym fachowcem.

— A ile godzin dziennie pracuje milicjant za te 600 000 złotych?

— Ustawowo od 8.00 do 15.30. Zwyczajowo dotąd, dokąd nie skończy pracy, której wykonanie mu powierzono. Nikt i nigdy nie spotkał się z tym, by milicjant opuścił miejsce wypadku, włamania czy innego przestępstwa, bo wybiła godzina, o której powinien skończyć pracę. „Zamykanie okienka" to przywilej urzędniczy.

— Ilu pana współpracowników spędzi Wigilię w rodzinnym gronie?

— Tego jeszcze nie wiem. 8 inspektorów i ja spędzimy Wigilię i pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia czekając w SUSW na wezwanie mieszkańców stolicy, będą również dyżurowali inspektorzy w DUSW. Dobrze, jeśli naszymi siłami będziemy mogli zabezpieczyć wszystkie miejsca zdarzeń. A w święta, wbrew pozorom, jest i dużo samobójstw, szczególnie ludzi samotnych, i dużo rozbojów, bo sporo pijanych krąży po mieście i mnóstwo kradzieży, włamań do samochodów, a nawet mieszkań.

— Czy za te dyżury milicjant otrzymuje dodatkowe wynagrodzenie?

— Nie. Milicjant otrzymuje tylko pensję.

— Co pan zrobi, gdy powołane zostaną Niezależne Związki Zawodowe MO i wystąpią przeciwko wykorzystywaniu milicjantów do służby w godzinach ponadustawowych?

— U nas w wydziale nie ma na razie żadnego zainteresowania utworzeniem związków zawodowych. Ludzie są tak zapracowani, że nikt nie ma na to czasu.

Dziś podległym sobie funkcjonariuszom, w zamian za ponadustawowe wykorzystywanie ich o służby, mogę jedynie zaproponować: mniej szarży, mniej zależności oraz więcej koleżeńskości i przyjaźni. Nie mogę nawet poprosić szefa SUSW o przyznanie, w uznaniu zasług, przewidzianego ustawowo, dodatkowego urlopu (3 dni), bo kto pełniłby służbę.

Aha, są jeszcze nagrody. Najwyższa, na zakończenie roku w wydziale kryminalnym SUSW wynosiła 150 000 zł, najniższa 35 000 zł.

— Czy zmiana nazwy z milicji na policję kryminalną ułatwiłaby panu i pańskim podwładnym pracę?

— Sama nazwa policja kojarzyć się może z większą fachowością, ale niczego nie zmienia. Potrzebna jest zmiana struktury, wyposażenia i społecznego stosunku do naszej służby.

Nieprawdą jest, że byliśmy milicją wyłącznie uzależnioną od partii. Przez cały czas, niezależnie od polityki, ścigaliśmy sprawców zabójstw, włamań i w ten sposób chroniliśmy interesy społeczeństwa. Dzisiejsza chęć rewanżu za tzw. naszą polityczną przeszłość, roztrząsanie spraw, za które ponosi odpowiedzialność wąskie grono ludzi, a nie cała milicja, osłabia po prostu milicję. Największą korzyść z tych pełnych emocji i niesprawiedliwych nieraz rozliczeń czerpią kryminaliści. Są oni, na dzień dzisiejszy, grupą ludzi najskuteczniej chronioną przez prawo.

Przyznać muszę, że z przerażeniem czytam o planach kolejnego zmniejszenia budżetu MSW. Na całym świecie np. policja kryminalna, specjaliści z dziedziny kryminalistyki czy ruchu drogowego przystępując do oględzin i zabezpieczenia miejsca zdarzenia mają jednorazowe ubrania ochronne. U nas brak rękawic, podstawowego wyposażenia na wypadek kontaktu z nosicielem wirusa AIDS. Milicjant np. oględzin rozkładających się zwłok dokonuje we własnym garniturze. W SUSW nie ma nawet warunków, by po takiej pracy wziąć prysznic. Czy strzepać ubranie z pcheł lub innego robactwa, które było np. w zamkniętym od kilku tygodni mieszkaniu, gdzie znaleziono zwłoki. Milicjant idzie z tym do swojego domu. Kto to wytrzyma? Za ile?...

Dziwi mnie, że nikt dotąd nie zauważył i nie podniósł tego w Sejmie, iż program uzdrowienia gospodarki zaproponowany przez wicepremiera Balcerowicza poza efektami w sferze ekonomicznej niesie także za sobą możliwość eskalacji czynników kryminogennych. Stwarza bowiem źródła przestępstwa. Ogromne materialne zróżnicowanie społeczeństwa, bezrobocie musi spowodować — temu nie da się zapobiec, to można ograniczyć przy sprawnej, dobrze wyposażonej technicznie i legislacyjnie milicji — dalszy wzrost przestępczości, szczególnie kradzieży, włamań, napadów, rozbojów oraz pojawienie się nowych form przestępczości gospodarczej związanych z urynkowieniem gospodarki. A w tych wszystkich dyskusjach jednym tchem mówi się o pospiesznym zburzeniu milicyjnych struktur i tworzeniu lepszych. Zgadzam się, reorganizacja jest potrzebna. Tylko jeszcze nikomu nie udało się stworzyć czegoś lepszego niszcząc fundamenty i nie dysponując ani funduszami, ani materiałami, ani siłą roboczą do budowy ideału.

— A jak wygląda organizacja pracy i wyposażenie innych policji kryminalnych na świecie?

— Na ten temat nie chciałbym zabierać głosu. U ludzi najwyżej cenię kompetencje. A ja, w ponad dwudziestoletniej karierze milicjanta kryminalnego, nie miałem okazji do służbowych wyjazdów za granicę w celu podnoszenia policyjnych kwalifikacji. Byłem tylko raz i tylko 3 dni w Czechosłowacji. O policji kryminalnej na świecie wiem tyle, ile uda mi się przeczytać w prasie krajowej lub zagranicznej.

— Dziękuję za rozmowę.

ELŻBIETA CIERLICA

Szakale

ELŻBIETA SITEK

Pomysł zrodził się przy wódce. Zabrakło pieniędzy na następną butelkę i kiedy kombinowali, skąd ją wziąć, jeden z nich powiedział, że niedaleko mieszka jego ciotka.

— Jest nadziana, dwie córki z Ameryki ślą dolary. Stara ma 72 lata i mieszka sama w domku na uboczu. Całkiem łatwa robota... — jednoznacznie dał do zrozumienia, że nie o pożyczkę od cioci mu chodzi.

Kolesie kupili pomysł od razu. Niejedno włamanie mieli już za sobą, więc nie trzeba im było dwa razy powtarzać. Pomysłodawca zapoznał ich z usytuowaniem domku i rozkładem mieszkań ciotki, powiedział, gdzie najprawdopodobniej trzyma złotówki i dolary.

Poszli przed dom jeszcze tego samego dnia, ale ciotka była wewnątrz, więc wrócili. Przyszli następnego dnia, ale sytuacja się powtórzyła.

— Postanowiliśmy więc iść na całość i okraść dom w czasie obecności właścicielki — powie później jeden z czterech sprawców.

Właściwie nie robiło im to większej różnicy. Do dotychczasowego planu dodali tylko jeden szczegół — obezwładnić ciotkę. No i rzecz jasna musieli się zamaskować.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Gdy starsza pani podeszła do furtki, żeby zobaczyć, kto dzwoni, weszli przez rozciętą wcześniej siatkę, zaskoczyli ją od tyłu, obezwładnili, zakneblowali, wciągnęli do domu. Podczas gdy jeden z nich przyciskał ją kolanem do podłogi, pozostali plądrowali pokoje. Znaleźli 200 tys. zł i 20 dolarów, znacznie mniej, niż się spodziewali. Wychodząc oszołomioną, przyduszoną kobietę obezwładnili, używając ręcznego miotacza gazu. Chcieli mieć pewność, że przez dłuższy czas nie będzie w stanie powiadomić kogokolwiek o napadzie.

Miało to miejsce na Saskiej Kępie w Warszawie, 3 listopada 1989 r. Sprawcy zostali zatrzymani 3 tygodnie później. Starsza pani oprócz szoku i paru sińców wyszła z napadu cało, co w takich przypadkach nie zawsze się zdarza.

W Milanówku czterech zamaskowanych sprawców weszło do mieszkania nocą przez uchylone okno parterowego domku. Widać, że „robota" była nadana przez kogoś znającego dobrze mieszkających tu starszych ludzi, gdyż sprawcy mieli dobre rozeznanie. Obezwładnili gospodarzy, związali, a kiedy ci nie chcieli im powiedzieć, gdzie trzymają dolary i złoto, polewali koszulę mężczyzny spirytusem i podpalali na nim. Gdy zaczynał mówić, gasili. „Zabawę" powtarzali kilkakrotnie. W efekcie zrabowali mienie wartości około 50 milionów i zniknęli. Ciężko poparzony gospodarz trafił do szpitala. Dwa miesiące później bandyci zostali zatrzymani.

Również nocą i także przez okno wtargnęli przestępcy do mieszkania 73-letniej Barbary L. w Kałuszynie. Obezwładnili ją grożąc nożem i zmusili do wydania pieniędzy, złota i dolarów wartych prawie 70 milionów zł.

82-letnia gosposia znanej aktorki Hanki Bielickiej będąc sama w domu otworzyła drzwi mężczyźnie, który podał się za inkasenta z elektrowni. Natychmiast po wejściu do mieszkania przestępca obezwładnił starszą kobietę, związał, zakneblował, zakleił plastrem oczy i wpuścił kolegów, by splądrowali mieszkanie.

Pod podobnym pretekstem wtargnęli sprawcy do mieszkania 80-letniej Jadwigi R. w Rawiczu. Obezwładniwszy lokatorkę ograbili ją ze złota, dolarów i co cenniejszych przedmiotów o łącznej wartości około 70 milionów złotych...

* * *

Rosnąca od kilku lat liczba napadów mieszkaniowych jest w 1989 roku alarmująca: do końca listopada wynosiła 429 (w całym 1988 roku 312, a np. w 1986 — 219).

Ofiarami ponad połowy z nich są osoby starsze, mieszkające samotnie. Dla przestępców są przeszkodą, którą pokonuje się bez większego ryzyka. Starszy człowiek nie stawia oporu, łatwo go unieszkodliwić, zostawia sprawcom dużo czasu po odejściu, gdyż długo nie może się pozbierać i wezwać pomocy, ma na ogół słabszą pamięć i nie zawsze jest w stanie odtworzyć szczegóły zdarzenia i opisać napastników. Przestępcy dokonujący takich napadów są przeważnie recydywistami, choć niekoniecznie w kategorii przestępstw najcięższych. Coraz częściej za napady mieszkaniowe biorą się dotychczasowi włamywacze, drobni złodzieje i zwykłe lumpy. Zaczyna się na ogół podobnie: brakuje pieniędzy, więc idą je zdobyć. Jeśli mieszkanie jest puste, popełniają przestępstwo włamania, jeśli jest w nim lokator — napadu, który czasem kończy się zabójstwem. Ale klasyfikacja przestępstwa to sprawa dla prokuratora. Przestępca, gdy idzie zdobyć forsę nie zastanawia się, jaki artykuł

ciąg dalszy na s. 21

Zwracamy się z prośbą do wszystkich czytelników „Magazynu Kryminalnego 997" o uwagę i ewentualną pomoc. W „Sezamie 997", przy współpracy z KG MO i innymi jednostkami MO w kraju, zamierzamy publikować portrety pamięciowe osób podejrzanych o różnorodne przestępstwa kryminalne, przedmioty zaginione w wyniku włamań i kradzieży lub odzyskane po zatrzymaniu sprawców tychże przestępstw bądź paserów, po które dotąd nie zgłosili się ich właściciele. Będziemy publikować także zdjęcia osób już zatrzymanych, podejrzanych o dokonanie przestępstw.

Liczymy na zgłoszenia tych wszystkich, którzy w pokazanych materiałach rozpoznają kogokolwiek lub cokolwiek albo będą w stanie przedstawić prowadzącym śledztwo nowe, nie znane dotąd szczegóły dotyczące danej sprawy. Wszyscy czytelnicy, którzy rozpoznają na zaprezentowanych poniżej zdjęciach utracone w wyniku włamań, kradzieży czy w inny sposób przedmioty, i zgłosili ten fakt milicji, będą mogli w niedługim czasie odzyskać je.

Czekamy także na listy i propozycje wzbogacenia naszego „Sezamu 997".

SEZAM 997

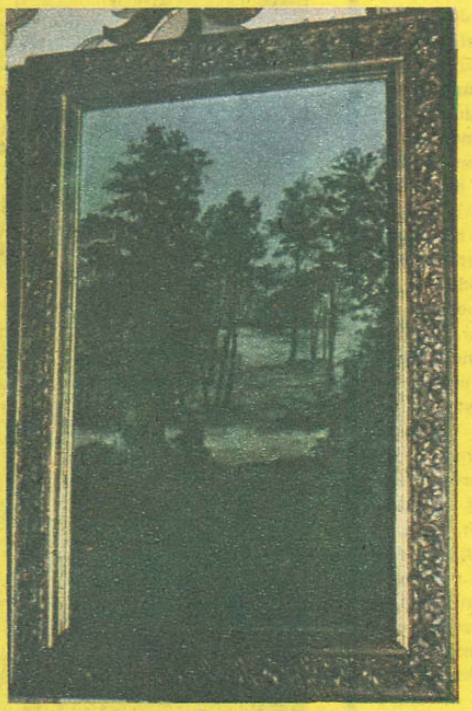

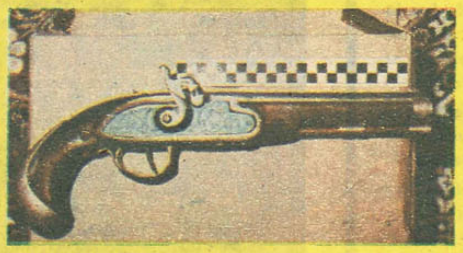

● Podczas przeszukania w mieszkaniu Mieczysława B. z Kalisza, znanego w tym mieście pasera, zakwestionowano następujące przedmioty niewiadomego pochodzenia w postaci obrazów, samowarów, świeczników etc. Przedmioty te mogą stanowić łup włamywaczy z całego kraju. Cz[illegible] z nich prezentujemy na zdjęciach obok. Ktokolwiek je rozpozna, proszony jest o kontakt z WUSW w Kaliszu, KG MO lub naszą redakcją.

● Przedstawionemu na zdjęciu obok, Czesławowi Fuchsowi, 31-letniemu mieszkańcowi Katowic, udowodniono dotychczas 5 oszustw na szkodę osób prywatnych. Pan Fuchs przedstawiał się jako adwokat, radca prawny Sądu Rejonowego w Katowicach lub kierownik budowy Centrali Handlu Zagranicznego w Warszawie i pod pretekstem załatwienia (stosownie od podanej wersji) rozwodu, mieszkania lub wyjazdu do USA wyłudzał od różnych osób poważne kwoty w walucie rodzimej lub obcej.

Istnieje uzasadnione podejrzenie, że wyżej wymieniony, prowadząc wędrowną działalność przestępczą, dopuścił się znacznie więcej oszustw na terenie woj. katowickiego i całego kraju. Wszyscy, którzy rozpoznają na zdjęciu Czesława Fuchsa, jako osobę, której powierzyli jakąkolwiek kwotę na poczet załatwienia swojej sprawy, proszeni są o kontakt z Wydziałem Kryminalnym WUSW w Katowicach, Biurem Kryminalnym KG MO lub naszą redakcją.

Podajemy rysopis: Wiek z wyglądu 35—40 lat, 185 cm wzrostu, szczupły, włosy ciemnoblond czesane na bok z przedziałkiem, nosi tzw. szpicbródkę. Ma sparaliżowaną prawą stronę ciała, niedowład prawej ręki oraz utyka na prawą nogę.

★

● Niestety, zdjęcia innego oszusta, zatrzymanego przez funkcjonariuszy MO w Oleśnie w woj. częstochowskim i przekazanego na prośbę Prokuratury Rejonowej w Opolu do tegoż miasta, nie będziemy mogli zaprezentować. Z wiadomych tylko sobie przyczyn prokurator nie wyraził na to zgody. Wszystkim osobom, które na terenie województwa częstochowskiego, opolskiego, legnickiego, słupskiego, elbląskiego, koszalińskiego i katowickiego kupiły fałszywe banknoty studolarowe od 50-letniego mężczyzny, notabene karanego w przeszłości za przestępstwa przeciwko mieniu i oszustwa, aby rozpoznać oszusta na zdjęciu możemy jedynie zaproponować wizytę u prokuratora rejonowego w Opolu lub w Biurze Kryminalnym KG MO. Tylko tam bowiem są zdjęcia wielokrotnego oszusta dolarowego.

● W kwietniu 1988 r. WUSW w Zielonej Górze wszedł w posiadanie zamieszczonych obok na zdjęciach przedmiotów niewiadomego pochodzenia. Najprawdopodobniej przedmioty te stały się łupem włamywaczy. Są to: rzeźba św. Jana Ewangelisty w drewnie polichromowanym z XVIII w. (brak prawej ręki), Putto w drewnie polichromowanym także z XVIII w. (brak obu rąk) wraz z fragmentem ołtarza, Anioł będący także fragmentem ołtarza w drewnie polichromowanym oraz Stary i Nowy Testament wydany w Norymberdze w 1686—1690 r. pisany gotykiem w języku niemieckim, bogato ilustrowany miedziorytami przez Joachima von Sandradta. W tym wypadku prosimy o uwagę głównie księży, zwłaszcza tych, których kościoły w przeszłości obrabowano. Może rozpoznają na zdjęciach fragmenty zniszczonego przez nieznanych sprawców ołtarza.

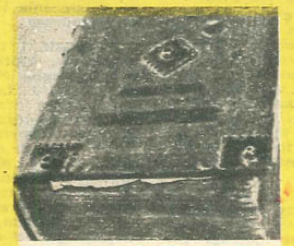

„Z ŁUPEM NA PLEBANIĘ"

Zgłoszenia o kradzieżach samochodów i włamaniach do nich są dla dyżurnych RUSW chlebem codziennym. Bez echa pozostają apele o obywatelską samoobronę, niepozostawianie na widocznych miejscach saszetek z dokumentami i wartościowych przedmiotów. Beztroscy właściciele czterech kółek liczą na szczęśliwy los...

W roli rozczarowanego znalazł się jeden z mieszkańców Mielca, który zgłosił dyżurnemu o włamaniu do jego samochodu, stojącego na nie strzeżonym parkingu. Nieznany sprawca po wybiciu szyby w drzwiach skradł radioodtwarzacz z dwoma głośnikami, 15 kaset magnetofonowych oraz saszetkę z dokumentami i pewną sumą pieniędzy. Uszkodzona obudowa kolumny kierownicy i stacyjka zapłonu świadczyły o nieudolnej próbie uruchomienia samochodu.

Po dopełnieniu niezbędnych czynności dyżurny nadał sprawie bieg, informując poszkodowanego o powszechności tego rodzaju przestępstw i trudnościach w ich wykryciu. Nic więc dziwnego, że właściciel samochodu nie robił sobie większych nadziei na odzyskanie skradzionych rzeczy. Jednak po kilku dniach poproszony został do RUSW, gdzie przekazano mu wszystkie skradzione przedmioty w nienaruszonym stanie. Był to efekt skruszonego sumienia złodziejaszka, który w siedem dni po kradzieży cały łup zaniósł przed drzwi... budynku parafialnego w Mielcu. Odnalazł go ksiądz, który niezwłocznie powiadomił o tym dyżurnego RUSW w Mielcu.

JAN ZAFOREMSKI

Ktokolwiek mógłby udzielić informacji o prezentowanych powyżej sprawach, proszony jest o telefoniczny lub listowny kontakt z naszą redakcją, Biurem Kryminalnym KG MO lub najbliższą jednostką MO.

opracował
TADEUSZ NOSZCZYNSKI
reprodukcje Krzysztof Potocki

USA

POGOTOWIE SEKSUALNE

Stany Zjednoczone Reagana i Busha chcą być za wszelką cenę purytańskie, jak za czasów pionierów. Często jednak zapominają, że w czasach pionierów byli nie tylko dzielni i pobożni rolnicy, ale także i wszelkiej maści bandyci, a w saloonach nie tylko piło się whisky. Tradycja trwa: obecnie też co jakiś czas dobre towarzystwo, kręgi polityczne przeżywają nowy skandal. Ostatnio ujawniono, że w Waszyngtonie istnieją regularne oddziały „call girls" i „call boys" dla dobrego towarzystwa. Pisze o tym amerykański korespondent LA REPUBBLICA.

Oferujemy duży wybór osób towarzyszących obojga płci pochodzenia amerykańskiego, europejskiego czy wschodniego, wysoko wykwalifikowanych na każdą okazję, dyskretnych i przygotowanych zawodowo. Usługi w miejscu zamieszkania lub w naszych luksusowych apartamentach. Czynne 24 godziny. Przyjmuje się karty kredytowe. Takie ogłoszenia ukazują się w dziale „Escort Massage" w Waszyngtonie pod takimi nazwami, jak: Finese, Butterfly, Action, Jest Set, Exclusively Yours, Rio Connection, Mademoiselle. Ponad 50 telefonów reklamuje to samo: prostytutki obojga płci za średnią cenę 300 dolarów za godzinę.

Krąg call girls i call boys istnieje od lat w stolicy tak, jak we wszystkich wielkich miastach amerykańskich, w sposób hałaśliwy trafił jednak na pierwsze strony dzienników z powodu skandalu, który dotarł do Białego Domu i ukazał świat wpisujący seks do wydatków służbowych, jakby to była kolacja w interesach, lobbyści przeobrażają się w sutenerów, a perwersja staje się bronią szantażu politycznego.

Pierwszy WASHINGTON POST ujawnił, że wysocy urzędnicy rządu Cartera, Reagana, Busha, oficerowie Pentagonu, VIP z światowych i politycznych kronik miejskich są stałymi klientami gangu call boys. Podobno prostytucja homoseksualna jest tak powszechna w środowiskach rządowych, że pewnemu wpływowemu lobbyście udało się zorganizować swoistą orgię dla trzech przyjaciół i dwóch call boys w środku nocy w Białym Domu, kiedy Reagan i first lady spali o piętro wyżej. Na ogół prawo w Waszyngtonie nie ściga płatnego seksu między wybierającymi go dobrowolnie dorosłymi, ale ten przypadek bada sąd federalny i tajna służba z powodu stwierdzenia oszustw z kartami kredytowymi, wykorzystywania nieletnich i ewentualnego szantażu politycznego również w celach szpiegowskich.

Dyskusję jednak wywołują implikacje moralne skandalu: w salonach w Georgetown, szykownej dzielnicy stolicy, w barach koło Kapitolu, w redakcjach dzienników komentuje się, że wydarzenie ukazało tylko czubek góry lodowej postępowania, w którym prostytucja żeńska i męska, jest normalnym elementem procesu politycznego. „Zafundowanie ważnej osobistości dobrej kolacji i pięknej kobiety lub pięknego chłopca, w zależności od gustu, nie jest wcale rzeczą niezwykłą", zwierza się pewien zagraniczny dyplomata dobrze wprowadzony w grę amerykańskiej władzy. Zastęp lobbystów, wykorzystujących prywatne finansowanie, aby zaprzyjaźnić się z politykami i korumpować ich — twierdzą weterani waszyngtońskiej sceny — nie waha się wykorzystywać seksu do tego samego celu.

W ciągu ostatnich lat ta mentalność wpłynęła na boom Escort Service, domów schadzek, chroniących się przed oskarżeniem o prostytucję oferowaniem, jeżeli trzeba, także autentycznych hostess i osób towarzyszących ministrowi lub biznesmenowi, który nie chce przyjść sam na bankiet, ale faktycznie rozwijających się dzięki tradycyjnemu handlowi seksem. Klient telefonuje, wyjaśnia co woli; telefonistka z głosem seksy i aluzyjnym opisuje urodę, wiek, wymiary dziewcząt (lub chłopców) do dyspozycji. „Mamy bardzo atrakcyjne kobiety w wieku od 20 do 35 lat, brunetki, blondynki, rude, gotowe zadowolić wszelkie wymagania", mówi przez telefon jedna z tych maitresse, „jeżeli pan woli, możemy przysłać ślicznego chłopczyka".

„Wymagania osobowe" są dyskutowane prywatnie przez towarzyszącą (towarzyszącego) w pokoju klienta: ogłoszenia dają do zrozumienia dyspozycyjność do psychodramy i wymiany ról, obejmujące wszelkie możliwe warianty sado-masochistyczne. Cena wynosi 150 dolarów za godzinę jako taryfa Escort Service i prawie drugie tyle w formie bezpośredniej opłaty dla osoby towarzyszącej.

Płatność może być gotówką lub za pośrednictwem karty kredytowej, na której pojawiają się hasła dość niewinne (na przykład „usługi zawodowe"), aby nie budzić podejrzeń w biurze administracyjnym firm prywatnych lub rządowych. Jest zatem zrozumiałe, dlaczego jeden ze stałych klientów, zdaniem WASHINGTON POST, płacił spokojnie za usługi miłosne kartą kredytową wydaną przez Departament Obrony.

Skandal zielonych baletów w Białym Domu spowodował pierwsze dymisje prawej ręki ministra pracy, urzędnika, który miał osobiste kontakty z prezydentem. Ale Waszyngton, stolica cynizmu politycznego, wielokrotnie wykazała, że jest mniej moralistyczna i purytańska od reszty narodu: tu łatwiej zniszczyć sobie karierę wskutek publicznej niegrzeczności niż prywatnego nałogu. Insiders stolicy utrzymują, że John Tower, wyznaczony przez Busha na sekretarza obrony, a później odrzucony przez Senat i Jim Wright, przewodniczący Izby zmuszony do złożenia dymisji wskutek swoich krętactw finansowych, wpadli przede wszystkim dlatego, że narobili sobie wielu wrogów w Kongresie, gdzie nie mieli dla nikogo względów; podczas gdy Tom Foley został wybrany na nowego przewodniczącego Izby, mimo insynuacji na temat jego homoseksualizmu (wielu przysięga, że tak jest naprawdę), bo jest parlamentarzystą, który potrafi spowodować, że lubią go przeciwnicy i sojusznicy.

Przypadek prostytucji z dostawą do domu, jeżeli nie wywołał dużych szkód politycznych, dodał kolejny pikantny szczegół do jego bogatych kronik w stylu Boccaccia w Waszyngtonie, a te kroniki można ostatnio szybko sprawdzić dzięki niezwykłej przejażdżce: nazywa się „Objazd Skandali", kosztuje 20 dolarów od łebka, wozi turystów autobusem na zwiedzanie willi, w której Gary Hart został odkryty z Donną Rice, hotelu, w którym John Tower spędzał wieczory z kobietami i szampanem, wyjścia z Białego Domu, którym wychodziła Fawn Hall, sekretarka pułkownika Northa z majteczkami pełnymi dokumentów tajnych do zniszczenia i tak dalej przez półtorej godziny.

„Skandale i rząd, to jedyne dwa przemysły, które się stale rozwijają w Waszyngtonie", wyjaśnia przewodnik Richard London, były 34-letni aktor, który dodaje smaczku teatralnego przejażdżce wprowadzając do autobusu sobowtóry bohaterów awantur, o których opowiada. Nigdy jeszcze interesy nie szły tak dobrze: prawie codziennie musi zmieniać trasę podróży dorzucając jakiś grzeszek polityczny. Teraz, jego tramwaj zwany pożądaniem, opowiada także o wspaniałych nocach call girls i call boys.

B

Zachodnioniemiecki tygodnik DEUTSCHES ALLGEMEINES SONTAGSSBLATT zamieścił niedawno reportaż o młodych narkomanach z Madrytu. Oto skrócone tłumaczenie tego materiału.

— Przed dwiema godzinami — odpowiada Joaquin na pytanie o to, kiedy po raz ostatni wstrzyknął sobie heroinę. Podwija przy tym rękawy, by pokazać mi ślady ukłuć. — Wstrzykuję ją pod pachy, by mój szef nie zauważył niczego, gdy w letnie upały noszę koszulę z krótkimi rękawami. Teraz ukłucia wyglądają jeszcze jak małe pryszcze, ale po trzech czy czterech dniach nie będzie już niczego widać.

Joaquin, stolarz meblowy jak jego ojciec, pracuje w Terrejon de Ardoz, jednej z okalających Madryt smutnych miejscowości. Zrozumiałe, że ten 22-latek boi się o swoją posadę, gdyż nie każdy z jego rówieśników pochwalić się może stałym miejscem pracy. Według danych ministerstwa pracy, 1,3 mln młodzieży w wieku poniżej 25 lat — tj. 46 proc. — pozostaje bez pracy.

— Mając stały dochód nie muszę przynajmniej kraść jak inni — mówi Joaquin. — Swoje „papelinas", zawinięte w papier porcje heroiny, kupuję po tysiąc peset za sztukę, czasami cztery sztuki można już dostać za 3 tys., potem je zażywam. Oczywiście nie każdego dnia!, tylko wtedy, gdy mam na to ochotę... Nałóg? Nie, nałogowcem nie jestem! — mówi z przekonaniem, patrząc zamglonym wzrokiem. — Ale nie mów nic mojej matce o heroinie! powinna dalej wierzyć, że tylko palę haszysz. W końcu dość przeżyła z moim starszym bratem!

Rozmowę tę prowadzimy w madryckiej dzielnicy robotniczej Entrevias, dokładniej mówiąc w parafii św. Karola Boromeusza — ostatnim punkcie oparcia dla wielu zdesperowanych narkomanów. Przychodzą tu zresztą w większej liczbie niż sami narkomani ich matki, które nie wiedzą już, do kogo mają się zwrócić ze swoimi problemami: matki, które zmuszone są bezsilnie przyglądać się, jak ich dzieci giną od brania narkotyków. Od trzech lat spotykają się one regularnie w sali parafialnej, opowiadają o swych troskach, wymieniają informacje, planują akcje protestacyjne. Demonstrują na przykład każdej ostatniej soboty miesiąca na Plaza de Sol w centrum Madrytu. Całkiem w stylu argentyńskich matek z Palaza de Mayo uderzają w blaszane garnki i dmą w gwizdki, by skłonić rząd hiszpański do podjęcia skutecznej polityki antynarkotycznej. Dzięki swym akcjom matki narkomanów z Madrytu stały się znane daleko poza granicami miasta.

Jest poniedziałek wieczór, sala parafialna u św. Boromeusza wypełnia się skromnie ubranymi kobietami w średnim wieku. Wśród nich jest matka Joaquina: mężatka, czworo

SPOŁECZNE WSPARCIE DLA POLICJI

Mimo wielu emocji, jakie wywołało niedawne rozwiązanie organizacji Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, nie budzi aprobaty milcząca zgoda na pogrzebanie wraz z ORMO tematu społecznego udziału w ochronie publicznego porządku. Nie obywa się bez niego policja najbogatszych krajów świata, a cóż dopiero nasza, nękana brakiem ludzi i sprzętu.

Temat ten nie ma dziś dobrej prasy, choć jednocześnie te same gazety krzyczą nagłówkami o coraz bardziej ohydnych zbrodniach, którym sprzyja pogłębiające się ubożenie jednych i kontrastujące z nim coraz większe wzbogacanie się innych członków społeczeństwa, choć narastająca przestępczość staje się już obecnie tak powszechna, że w każdej chwili dotknąć może każdego z nas. Dlatego nie wolno czekać z założonymi rękami, a zadawnione urazy nie powinny przesłaniać społecznych interesów, których świadomość zaczyna kiełkować. Już dziś powinny się rodzić zręby przyszłej, partnerskiej postawy w stosunkach policji ze społeczeństwem, podstawy współpracy warunkującej skuteczność w ochronie publicznego porządku.

Analizy takie dokonywane są już od wielu miesięcy na Węgrzech i — fakt znamienny — stając się punktem wyjścia przyszłych rozwiązań nie pozwalają na odwracanie się do przeszłości plecami, a poprzez towarzyszącą im jawność i otwartość zyskują nowemu społeczną aprobatę i wiarygodność. Nie zapomniano przy tym o wdzięczności dla tych, których obecność w szeregach ORMO była wyrazem autentycznych społecznikowskich pasji.

Podobnie jak w Polsce, tak i na Węgrzech udział społeczeństwa w walce z przestępczością zinstytucjonalizowany był w rozbudowanych strukturach ochotniczej policji. Jak podaje tygodnik „Magyar Rendor", skupiały one blisko 59 600 członków, najliczniej reprezentowanych w Budapeszcie — 10 721 osób. Do czerwca 1989 roku odbyli oni ponad 2 mln służb patrolowych stanowiących podstawową formę ich działalności, uczestniczyli w kontroli ruchu drogowego, w zabezpieczaniu imprez i miejsc popełnienia przestępstwa. Ich czas służby odpowiada co najmniej 800 godzinom pracy zawodowej policji. A efekty? Zasługą węgierskich „ormowców" jest ponad 10 proc. wszystkich zatrzymań, tylko w ubiegłym roku ujęli oni prawie 5 tysięcy osób, z czego większość na gorącym uczynku przestępstwa.

Wydatki związane z funkcjonowaniem ORMO, wliczając w nie roczną wartość sortów mundurowych (30 mln forintów), przyznanych nagród i odznaczeń (15 mln), umożliwiłyby zatrudnienie... 150 zawodowych milicjantów.

Policja, już choćby ze względów zawodowych, jest instytucją najbardziej zainteresowaną w pomocy społeczeństwa, i nawet największe nakłady finansowe pomocy tej nie zastąpią. Wszędzie na świecie apeluje się o pomoc w wykryciu sprawców pojedynczych przestępstw, korzysta

Hiszpania

ŚMIERTELNA IGŁA

dorosłych dzieci, troje z nich uzależnionych od heroiny. Jej najstarszy syn siedzi w więzieniu z powodu kradzieży.

— Jest poważnie chory na żołądek, mam nadzieję, że będę go mogła stamtąd wydostać i pielęgnować w domu — mówi kobieta.

Taką nadzieję ma także inna matka, z tym że jej syn jest ponadto zarażony AIDS i ma przed sobą jeszcze tylko kilka tygodni życia. Syn Marii Martin, jednej ze współzało-

życielek grupy matek narkomanów, już nie żyje. Zmarł przed ponad rokiem na skutek postrzału w głowę, gdy policja zaskoczyła go w trakcie włamania. To samo zdarzyło się synowi Mercedes. Pozostała jej 22-letnia córka. Ale także i ona ma za sobą „typową karierę": mając 13 lat wyprowadziła się z domu, trafiła do domu poprawczego, zaczęła brać haszysz, a po śmierci brata heroinę. Krótko potem zaszła w ciążę; z powodu kradzieży znalazła się w więzieniu i tam urodziła dziecko. Dziecko dało jej na krótki czas energię, by powstrzymać się od heroiny, ale gdy wyszła z więzienia, handlarze już na nią czekali. Teraz ma trzyletnią córkę, wstrzykuje sobie dalej heroinę i zarabia pieniądze na codzienną porcję prostytucją. Ilu jest w Hiszpanii narkomanów, statystyki nie podają dokładnie, ale liczbę zażywających heroinę i kokainę szacuje się na 300 do 500 tys.

— W roku ubiegłym mieliśmy 272 zmarłych z przedawkowania, jednak w przyszłości więcej będzie chyba umierać na AIDS niż od narkotyków — wyraża swe obawy pracownik ministerstwa zdrowia.

Jednym z tych, którzy od początku energicznie pomagali matkom, jest ksiądz Enrique de Castro. Zaangażowany duchowny z Entrevias wziął np. do siebie sześciu młodych ludzi, by pomóc im przy kuracji odwykowej. W jego parafii około 60 proc., młodzieży sięga po słabsze, niemal 20 proc. — przynajmniej okazyjnie — po silniejsze narkotyki, co najmniej 5 proc., to nałogowcy. Połowa młodych ludzi nie posiada stałej pracy, wielu zrezygnowało ze szkoły lub nauki zawodu przed jej ukończeniem.

— W tej dzielnicy już dzieci nie mają żadnej perspektywy — mówi ks. de Castro i pokazuje na stłoczone mieszkalne wieżowce. — Brakuje tutaj wszystkiego, czego młodzi ludzie rzeczywiście potrzebują. Ten, kto tutaj dorasta, nie ma żadnych celów, żadnych ideałów, żadnej przyszłości. A potem przychodzą sprzedawcy narkotyków ze swym doskonałym marketingiem, oferują swój towar na każdym rogu, tak zaczepiają już nawet dziesięcio- i jedenastolatków.

Joaquin również wcześnie zapoznał się z narkotykami.

— Było to całkiem proste — wyjaśnia. — Byliśmy wszyscy razem, wszystko wypróbowaliśmy. Jak to bywa, kiedy się jest młodym i ciekawskim. A kiedy poznasz działanie narkotyków, wciąż po nie sięgasz. Jedna „popelina" — i zostawisz wszystko za sobą, zapomnisz o swoich problemach. Jak masz jeszcze po tym pieniądze, idziesz się z kolegami czegoś napić albo siadasz po prostu w parku.

Widać ich tam latem, z krążącymi całkiem jawnie od jednego do drugiego „skrętami". A policja przygląda się bezsilnie, nawet gdy pojawia się strzykawka, od 1983 r. bowiem zażywanie narkotyków nie jest prawnie zakazane. Zabroniony jest tylko handel — a ten kwitnie, przez co Hiszpania stała się w ciągu ostatnich lat europejską centralą przerzutu narkotyków. Znaczna większość towaru pochodzi z Ameryki Południowej, przede wszystkim z kolumbijskich plantacji kokainy. W Hiszpanii pośrednicy trafiają na idealne warunki: po pierwsze komunikacja lotnicza między Ameryką Łacińską a Półwyspem Iberyjskim jest bardzo intensywna, po drugie już choćby z uwagi na ten sam język łatwiej się im maskować. Inne ważne szlaki, dzięki którym unika się przede wszystkim ostrej kontroli w portach lotniczych, biegną z Maroka przez hiszpańskie wybrzeże Morza Śródziemnego, którego hiszpańska policja nie jest po prostu w stanie dokładnie pilnować. Ocenia się, że 90 proc. przemycanych narkotyków pozostaje nie wykrytych. Dwie trzecie z tego wędruje dalej na północ, reszta pozostaje na ziemi hiszpańskiej.

Od Joaquina i przybyłych innych, młodych ludzi chcę się dowiedzieć, gdzie można kupić narkotyki.

— Dostaniesz je wszędzie — wtrąca się Patricia. — Albo tu, w Entrevias, albo w Vellecas, albo na Starym Mieście w Madrycie. Handlarze zaczepiają cię tam przecież na ulicy i pytają: „Quieres chocolate?" — Chcesz czekolady? Towar ten sprzedają nie tylko Cyganie, ale także młodzi ludzie, którzy sami są narkomanami i potrzebują pieniędzy.

— Dotarcie do towaru nie jest w ogóle żadnym problemem — zabiera głos Jose, 30-letni zaawansowany alkoholik — pod warunkiem, że masz pieniądze. A jeśli ich nie masz, postarasz się o nie. Jeśli wisisz na igle, zrobisz wszystko.

Tym niemniej wielu chce się znów stać „clean" — mówi Patricia, która sama „przez lata wisiała na igle", a w najgorszym swym okresie urodziła nawet drugie dziecko. Ale, „gracias a Dios", wszystko się dobrze skończyło. Przeprowadziła w domu kurację odwykową, przy pomocy matki, nie posługując się środkami medycznymi.

— Życie nie jest jednak proste, możesz mi wierzyć! Żyj z dwojgiem dzieci bez męża! Oficjalnie nie jesteśmy rozwiedzeni, gdyż rozwód jest o wiele za drogi. A więc nie mogę od męża wyegzekwować żadnych pieniędzy. A znaleźć tutaj pracę nie mając kwalifikacji, jest bardzo trudno. Obecnie znów szukam posady.

Na pytanie, co więc musiałoby się zmienić, młodzi ludzie odpowiadają zgodnie:

— Policjanci powinni się troszczyć przede wszystkim o to, by do kraju nie trafiały narkotyki, zamiast wciąż nas ciągać po komisariatach. Powinni się trzymać hurtowych handlarzy. Nam zabierają towar. A potem? Niektórzy policjanci sami go zażywają, inni zaś odsprzedają go dalej.

— Czego więc oczekujecie od życia? — pytam dalej.

— Pracy, domu, rodziny — wszyscy są co do tego zgodni.

B

Kanada

KRÓLEWSKA KONNA

Kanadyjska Królewska Konna Policja... Egzotyczna nazwa, mundur, egzotyczny środek lokomocji. Ale na koniach i w czerwonych kurtkach policjanci z Kanady występują już tylko podczas uroczystości oraz na posterunkach honorowych. Policja w tym olbrzymim terytorialnie kraju jest bardzo nowoczesna i dysponuje najnowszymi środkami technicznymi. (M)

się ze zorganizowanej pomocy mieszkańców. Wielkie organizacje zastępować mogą z powodzeniem małe, sprawne grupy, ruch samoobrony nie potrzebuje ogromnych, instytucjonalnych form.

Kadrowe braki londyńskiej policji łagodzą obywatelskie oddziały ochotnicze umożliwiające jej koncentrację działań na najbardziej zagrożonych przestępczością rejonach miasta. Podobnie jak w krajach socjalistycznych, wespół z zawodową policją pełnią one służbę patrolową, choć wykorzystuje się je również w pracy służb kryminalnych.

Choć brytyjska policja nie ma powodu do narzekań na brak społecznego autorytetu, przeprowadzono w Bristolu interesujący eksperyment, mający na celu umocnienie więzi między obywatelami a policją, którego efekty przeszły wszelkie oczekiwania. Aby zachęcić ludność do udziału w zapobieganiu przestępstwom, komisarz policji tego miasta napisał do wszystkich zamieszkałych tam rodzin otwarcie przedstawiając problemy oraz prosząc o pomoc. Oprócz cennych informacji, jakie otrzymano w nadesłanych odpowiedziach, wyłoniła się z nich także inicjatywa, w wyniku której zorganizowano stałą służbę obserwacyjną mieszkańców. Już po kilku pierwszych miesiącach jej działania odnotowano znaczny spadek liczby popełnianych tam przestępstw.

Wzajemne zaufanie i ścisłe kontakty ze społeczeństwem japońskiej policji osiągnięto dzięki możliwości związania działań funkcjonariuszy z niewielkim tylko rejonem mieszkańców — jest to czasem tylko jedna ulica. Oprócz służb patrolowych policjanci odwiedzają często obywateli w ich domach, na bieżąco wymieniając informacje o stanie bezpieczeństwa. Rozprowadza się też wśród mieszkańców periodyki traktujące o pracy policji, jej problemach i osiągnięciach. Japońska policja cieszy się opinią bodaj najskuteczniejszego aparatu do walki z przestępczością, ma najwyższy wskaźnik wykrywalności.

Przykładem samodzielnego wyjścia społeczeństwa naprzeciw wspólnej potrzebie jest powstanie w Monachium obywatelskiej organizacji samoobronnej. Powołanie jej stanowi reakcję na szerzącą się w sieci metra falę przestępstw dokonywanych przemocą. Członkowie grupy, kierowani przez instruktora judo, działają bez formalnych uprawnień, gdyż zachodnioniemieckie prawo dopuszcza możliwość ujęcia schwytanego na gorącym uczynku przestępcy przez każdego obywatela. Odpowiednia kondycja fizyczna pozostaje tu zatem praktycznie jedynym warunkiem. Działalność „czarnych szeryfów", jak są nazywani, spotyka się z przychylnością policji, która pragnęłaby podjąć z nimi współpracę.

W naszym kraju, gdzie biurokratyzm (także milicji) zaciążył już nieraz nad społeczną inicjatywą, czas stanąć ramię w ramię, by budowany obecnie nowy dom był przede wszystkim bezpieczny.

ELŻBIETA WRÓBEL

OSKUBAĆ KSIĘDZA

— Po prawdzie, to co się może dziać na plebanii, jak ona cięgiem zamknięta. Proboszcz jest człowiek taki więcej oszczędnościowy, nie trzyma gospodyni ani wikarego, to i nudzi mu się samemu. Zamyka drzwi i śmiga czerwoną toyotą do miasta. A to stało się na Jana, w proboszczowe imieniny. Zresztą, ja tam nic nie wiem, nie wtykam nosa w cudze sprawy... — drapie się w skołtunioną głowę zarośnięty gospodarz w wyszmelcowanej tureckiej bluzie.

Goszcza to mała wioska na trasie Węgrów-Kosów Lacki, przycupnięty w lasach zakątek siedleckiego Podlasia. Ziemia piaszczysta, licha, to i ludzie biedni. W letnie upalne dni całymi rodzinami wyruszają w leśne uroczyska i ryją ściółkę, wyszarpują jagody, za które w punkcie skupu można zgarnąć ładny grosz. A ci, którzy zostają w zabudowaniach, mają dość własnych kłopotów i nie interesują się zbytnio chudobą bliźnich, choćby nawet miała ona kształt plebanii...

— Wyjechałem do miasta o dziewiątej rano, a kiedy wróciłem, około siedemnastej, stwierdziłem, że do plebanii dokonano włamania — zameldował dyżurnemu RUSW w Węgrowie poszkodowany ksiądz proboszcz.

Na miejsce zdarzenia przyjechała grupa operacyjno-dochodzeniowa WUSW w Siedlcach. Ustalono, że sprawcy wybili szybę w lufciku i otworzyli okno od strony lasu. Z drogi nie mogli więc być widziani, a zresztą stara plebania, kontrastująca z okazałym murowanym garażem, i tak położona jest na odludziu, kilkaset metrów od najbliższych gospodarstw.

Co skradziono? Z oficjalnego zameldowania o przestępstwie wynikało, że japoński sprzęt wideo (kamera, rejestrator, tuner), odtwarzacz płyt kompaktowych oraz pewną ilość gotówki. Wartość strat poszkodowany oszacował na 20 mln zł. Po dwóch dniach okazało się, że straty są trzykrotnie wyższe (oprócz sprzętu elektronicznego, skradziono znaczne ilości dewiz różnych krajów, biżuterię, kolekcję monet). Przepadł dorobek całego życia księdza, który żył nader oszczędnie i pracowicie, pomnażając majątek licznymi wyjazdami zagranicznymi. I nikt się temu nie dziwił, gdyż z tak ubogiej parafii (pięć niewielkich wiosek, zaledwie 200 rodzin, z których część i tak decydowała się — z różnych względów — na śluby w sąsiednich parafiach), nawet przy największej zaradności trudno byłoby uciułać godziwe zasoby materialne.

Pies tropiący doprowadził do drogi i ślad zgubił. Ekipie milicyjnej pozostało tylko kilkanaście śladów linii papilarnych, pozostawionych prawdopodobnie przez sprawców. Gdzie ich szukać?

Zaczęto od ustalenia, kto tejże soboty mógł przebywać w okolicach plebanii. W skrzynce na listy ksiądz znalazł karteczkę z prośbą o zezwolenie na wzięcie ślubu w innej parafii. W tym samym czasie zdobyto informację, że w sobotę kręcił się koło plebanii młody nieznajomy mężczyzna na rowerze. Cechy szczególne rowerzysty: koszula rozerwana na plecach i tatuaż na ręku... To był właściwy trop.

Mł. chor. Janusz Robak z RUSW w Węgrowie uzyskał we wtorek wiadomość, że poszukiwanym osobnikiem może być 22-letni węgrowianin, Krzysztof B., posiadający rodzinę w sąsiedniej wsi. Winien, nie winien, sprawdzić nie zaszkodzi. Wizyta w domu Krzysztofa B. nie tylko nie zaszkodziła sprawie, ale jej najwyraźniej pomogła. Na byle jakim kredensie w byle jakiej kuchni milicjanci zauważyli elegancki magnetofon SONY. Taki sam skradziono z plebanii...

— Nic nie wiem na temat włamania. Magnetofon przyniósł mój brat Jacek kompletnie pijany, wyjął zza pazuchy i mi dał. Skąd on wziął? Mówi, że dali mu koledzy, Wiesiek i Sławek.

Wiesiek i Sławek zaprzeczyć na razie nie mogli, bo nie było ich w miejscu zamieszkania, gdzieś się zapodziali. Natomiast ich życiorysy wprawiły milicjantów z Siedlec w zadumę. Byli — jak to się w kręgach prawniczych mówi — recydywistami wielokrotnymi, o zastanawiającej zbieżności upodobań. 23-letni Sławek nigdzie nie pracuje, przestępczą karierę rozpoczął jako kilkunastoletni chłopak (włamania do kiosków, drobne kradzieże), szkołę podstawową ukończył w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Puławach, później były włamania do sklepów i kradzieże zuchwałe. Dobrodziejstwa amnestii nie docenił, aresztowany ponownie za napad rabunkowy, „wyceniony" przez sąd na 4 lata i 6 miesięcy pozbawienia wolności. We wrześniu 1988 roku znów mu zaufano, wypuszczając z więzienia warunkowo na rok przed terminem. Po trzech miesiącach został dyscyplinarnie zwolniony z zakładu pracy za bumelanctwo, a z następnego — za picie wódki.

21-letni Wiesiek karany był za włamania, chuligaństwo i gwałt ze szczególnym okrucieństwem, którego dopuścił się na nieletniej podczas trwającej okrągły miesiąc dezercji z wojska. Po wyjściu z więzienia próbował uczciwie pracować w wesołym miasteczku, ale bez powodzenia.

No i wreszcie trzeci z tej przestępczej trójcy: 22-letni Krzysiek. Siedział dwa lata i 6 miesięcy za włamania i kradzieże. Tak się „przejął" swoją resocjalizacją, że w kilka dni po opuszczeniu więziennych murów (grudzień 1988) okradł bufetową baru w Węgrowie. Tym razem sprawę załatwiono polubownie (okradziona jest koleżanką jego matki) i Krzysztof bez przeszkód mógł podjąć pracę w zakładach mięsnych. Zarabiał tam bardzo dobrze i nie musiał wracać na przestępczy szlak. A jednak...

— Zaczęło się wszystko od tego, że moja dziewczyna była już w czwartym miesiącu ciąży i mus do żeniaczki nastąpił... — opowiada Krzysztof. — Ślub zaplanowaliśmy na 45 rocznicę PRL, 22 lipca 1989 roku. W dniu Jana, z samego rana pojechałem do proboszcza po swoje świadectwo chrztu, a przy okazji miałem zamiar rzetelnie pomóc bratu w gospodarce. Po drodze przyplątali się kumple, Wiesiek i Sławek...

Krzysztof nakarmił owce i świnie, wsiadł na rower i obszczekiwany przez małego kundelka pojechał w wiadomym kierunku. Księdza nie zastał, ale znów natknął się na kolegów, którzy koniecznie chcieli obrobić jakiegoś zasobniejszego gospodarza.

— Skoro klechy nie ma, to trzeba go skubnąć, za dużo ma, krwiopijca... — mruknął któryś z nich. Sprzeciwów nie było. Otwarcie okna nie nastręczało Wieśkowi i Sławkowi najmniejszych kłopotów, a stojący „na lipku" Krzysztof też nic nie zauważył. Łupów nie musieli szukać, leżały niedbale w najbardziej widocznych miejscach, dewizy w kopertach też. Po „robocie" Krzysztof wrócił spokojnie do domu, a Wiesiek i Sławek ruszyli „w Polskę"... Szaleli słodko i dostatnio, szastając walutą na wszystkie strony. Za kurs z Goszczy do Węgrowa (20 km) zapłacili taksówkarzowi 220 dolarów, innemu rzucili niedbale zwitek wartości ponad 200 tys. zł. Część łupów wziął na przechowanie brat Krzyśka, część zakopali nie wiadomo gdzie, resztę sprzedali za pół darmo na bazarze Różyckiego w stolicy, natychmiast przeznaczając ten zarobek na prezenty dla znajomych dziewcząt i rodziny. Hulali przez parę dni, nie trzeźwiejąc. Kiedy przepili wszystko, pojechali do Puław, gdzie Sławek miał znajomą z „poprawczaka", mężatkę już, ale jeszcze mu przychylną. Tym chętniej go powitała, gdy ujrzała prezenty dla siebie i dzieci: srebrne precjoza, kryształy i porcelanę, zagraniczne zabawki. Siedleccy milicjanci pracowicie penetrowali środowiska przestępcze, co pozwoliło im wpaść na trop wesołych młodzian. Puławska mężatka odrzekła oczywiście, że Sławka nie widziała od lat i ... w tym momencie ówże wszedł. Wtedy mężatka wyznała, że Sławek bawi u niej od wczoraj, przywiózł drogie prezenty i mówił o jakimś skoku.

Dwóch sprawców włamania trafiło za kraty. Nadal nie wiadomo było, gdzie jest trzeci. Po godzinie 22.00 dyżurny RUSW w Puławach został powiadomiony telefonicznie przez funkcjonariuszy Posterunku MO w Kazimierzu Dolnym, że zatrzymali oni niejakiego Wiesława R. z Węgrowa, który awanturował się w restauracji „Esterka", uderzył nawet w twarz kelnerkę. Dyżurny skojarzył sobie nazwisko damskiego boksera z celem wizyty siedleckiej grupy operacyjno-dochodzeniowej i wkrótce cała trójka oczekiwała na przesłuchania w celach aresztu. Sprawców odnaleziono, ale nadal zagadką pozostawało miejsce ukrycia łupów. To, co zdążyli przepić i sprzedać, stanowiło część zrabowanego majątku.

— Dzięki umiejętnej pracy operacyjnej udało nam się uzyskać informację, że skradziony księdzu sprzęt elektroniczny znajduje się w torbie, schowanej w życie, za cmentarzem w Goszczy. Tej samej nocy pojechaliśmy tam — mówi kpt. Ryszard Kajdana z Wydziału Kryminalnego WUSW w Siedlcach. Na szczęście torba spoczywała jeszcze na swoim miejscu. Był w niej sprzęt i dewizy łącznej wartości 20 mln zł.

— Druga torba turystyczna z resztą łupu, m.in. z tunerem, była zakopana w kącie podwórka jednego ze sprawców. W chwili otrzymania tej informacji nie mieliśmy do dyspozycji żadnego samochodu. Powiadomiony telefonicznie o tym ksiądz zaofiarował się zawieźć nas swoją toyotą — mówi ppor. Leszek Żondełek, prowadzący postępowanie przygotowawcze.

Tymczasem sprawcy zamieszania otrzeźwieli już po upojnych eskapadach i zaczęli myśleć o obronie własnej skóry: „Wiesiek, widzisz, kurwy dały nas do sprawy. Chyba będzie amnestia i ty wyjdziesz, to weź tę, no, wiesz za mordę. Pisz codziennie spaloną zapałką!" — to treść grypsu, pozostawionego w toalecie. Matka jednego z nich też miała stać się adresatką odpowiednich instrukcji: „Weź te panie z biura na świadka, że 24 czerwca byłem z tobą. A ci chłopaki, co u nas ocieplali blok, to niech mówią, że latałem dla nich po piwo. No, a na wieczór niech da alibi Kaśka, że była ze mną na TV, to już".

Brat Krzysztofa, Jacek, odpowiada za paserstwo, w warunkach recydywy. Ale pozbawiony wolności nie został, dzięki poręczeniu społecznemu od osoby godnej zaufania. Czy odzyskano wszystkie powierzone mu łupy? Nie wiadomo. Najbardziej denerwuje się Krzysztof, bo dobrze wie, jak to łatwo przepuścić cudzą fortunę, gdy nad głową nie tkwi sufit celi, lecz jasny błękit swobodnego nieba...

HENRYK MAKARSKI
zdj. J. Krzykowski

Mamo! Wyślij mnie list ekspres polecony przez który dasz mnie znać, czy załatwiłaś mnie świadków do tego morderstwa na Grażynie oraz czy te dziewczyny co podałem ich adresy zmieniły swe zeznania, że ja ich nie gwałciłem jeżeli mnie nie załatwisz to znaczek przyklej na kopercie rogu na dole a jak tak to normalnie a będę wiedział co robić czy już jechać wariata czy nie...

Kochana mamusiu! Proszę cię nie zrażaj się tym że na sprawie ja będę udawał wariata bo ty sama wiesz, że nim nie jestem a muszę udawać aby obronić się bo jak sąd powoła biegłych to może przejdę i wtedy będę miał pół kary...

NIEWINNI POTĘPIEŃCY

To fragmenty autentycznych grypsów. Często spotykamy się z takimi postawami osób zainteresowanych otrzymaniem niższej kary bądź jej uniknięciem. Czy w czasie obserwacji psychiatrycznej łatwo odróżnić symulację od stanów chorobowych? – z tym pytaniem zwróciłem się do ordynatora Oddziału Psychiatrii Sądowej Szpitala Aresztu Śledczego w Poznaniu lek. specjalisty psychiatrii Ireneusza Kańczukowskiego.

— Jest to prymitywne pojmowanie choroby psychiatrycznej, a przede wszystkim chęć ucieczki w cień artykułu 25 par. 1 i 2 kodeksu karnego. Wbrew potocznym przekonaniom czysta symulacja jest zjawiskiem rzadkim. Czy normalny człowiek jest zdolny do tego, by być zarazem aktorem i reżyserem? Przecież my dysponujemy materiałami danej sprawy, prowadzimy badania, poddajemy pacjenta licznym testom, interesujemy się jego dotychczasowym życiem. W analizie życiorysu badanego nie chodzi wyłącznie o poznanie jego losów, lecz także zwykłych codziennych reakcji na bodźce pochodzące z zewnątrz itp. Ustalamy, czy w rodzinie ktoś chorował psychicznie, jak zachowywał się w szkole, jak kształtował się jego stosunek do osób innej płci. Bierzemy więc pod uwagę całokształt materiałów, a nie tylko oceniamy zachowanie się po dokonaniu przestępstwa.

— Czy łatwo jest uchwycić granicę między normą a patologią?

— Choć granica ta jest płynna, to stwierdzenie czy wykluczenie choroby nie jest większym problemem medycznym. Już dawno Aschaffenburg powiedział, że: „Stwierdzić chorobę psychiczną można w ciągu minuty, udowodnić natomiast, że ktoś nie jest psychicznie chory, poznać czy zaburzenia psychiczne nie wpływają na jego poczytalność, nie można niekiedy nawet w ciągu tygodni dokładnej obserwacji". Stany psychopatologiczne na pograniczu normy zdarzają się rzadko i naszym zadaniem jest je rozpoznać, w czym pomocne są różnorodne metody badawcze, analiza uzyskanych danych, doświadczenie itp. Aby nie było pomyłki każdą opinię sporządza dwóch lekarzy, jest ona uzupełniana obserwacjami psychologa.

— Znowu odwołam się do potocznego rozumienia tej problematyki, w myśl którego symulowanie choroby przynosi konkretne efekty w postaci częstego zastosowania artykułu 25 par. 1 i 2 k.k. Czy jest tak w istocie?

— Sprawców nieodpowiedzialnych karnie wskutek niepełnosprawności psychicznej w mojej praktyce było niewielu, zwłaszcza tych, którzy zamiast do zakładu karnego skierowani zostali do szpitali psychiatrycznych. Z drugiej strony nikt nie może ponieść odpowiedzialności za swą chorobę, gdy np. jest ona wrodzona. Sądzę, że na co dzień mamy do czynienia z zaburzeniami osobowości, co rzecz jasna nie jest stanem chorobowym. Mam na myśli degradację osobowości spowodowaną alkoholizmem, narkotyzowaniem się itp. Choroba psychiczna nie musi jednak predystynować do popełnienia przestępstwa. Odgrywa jedynie w specjalnych okolicznościach rolę bodźca sprzyjającego wykroczeniom przeciwko prawu. Tak więc nie każdy chory psychicznie stanowi groźbę dla porządku społecznego.

— Czyli postulowanie zmiany biegłych umotywowane jest dążeniem do uzyskania korzystniejszej oceny poczytalności, a tym samym niższej kary...

— Oskarżeni mają takie prawo i trudno się dziwić, gdy chcą z niego skorzystać. Ponadto koncepcje obrońców zmierzają ku temu, by uzyskać kwalifikacje np. uprzywilejowanego, tj. łagodniej karanego, zabójstwa pod wpływem silnego wzburzenia. Częściej niż dawniej spotykamy się również i z takimi osobami, które nie chcą się poddać badaniom twierdząc, że wyniki nie zmienią sytuacji, w jakiej się znalazły. Psychiatra ma się wypowiedzieć o stanie zdrowia sprawcy w chwili, gdy popełnił on zarzucany mu czyn, ocenić stan poczytalności w krytycznym momencie. Czy zachowanie to wynikało z choroby, jej początków lub też było to zjawisko niepoczytalności krótkotrwałej.

Naszym zadaniem jest więc wychwycenie i naświetlenie czynników indywidualnych, współdziałających ze środowiskiem, ze strukturą społeczną. Dlatego też w sprawach najpoważniejszych przestępstw nie wolno zdawać się na doświadczenie, porównywać z podobnym przypadkiem, lecz każdą z nich traktować indywidualnie. Czyn, a tym samym stopień winy, rozpoznawany jest coraz dokładniej, wiemy jednak, że spoczywa na nas ogromna odpowiedzialność. Zdarzają się więc sprzeczne opinie, ostateczna decyzja należy do sądu.

Mój rozmówca wezwany został do jednej z sal. Zająłem się — za jego zgodą — wertowaniem zawartości teczek osobowych pacjentów przebywających na obserwacji, jak i tych, którzy tu spędzili wiele tygodni.

Roman F. 7 stycznia 1989 r. rzucił się niespodziewanie na swoją dobrą znajomą. Uderzył ją nożem, przewrócił na podłogę, zaczął dusić. Kłuł ostrzem noża w plecy. Zgwałcił. Na zwłokach położył kartkę z napisem: „Żałuję co zrobił tej dziewczynie, że chyba mnie znajdą", podpisał się krzyżykami. Wychodząc z mieszkania odkręcił kurki przy kuchence gazowej, zapalił świeczkę.

Biegli nie byli w stanie wypowiedzieć się na temat jego stanu psychicznego, uznali, że czyn i sposób działania nie są jednoznacznie psychologicznie umotywowane i wnioskowali o poddanie go długotrwałej obserwacji. W czasie jej trwania ustalono m.in. wszelkie choroby, jakie przechodził, zainteresowania, zebrano opinie z pracy, miejsca zamieszkania. Badany podał, że w dzieciństwie pogryziony został przez psa, wypadł babci z wózka oraz przygniotły go wrota stodoły. Na podstawie zgromadzonego materiału, kilkutygodniowej obserwacji oceniono, że osobowość badanego charakteryzuje się słabo ukształtowaną uczuciowością wyższą, niezdolnością do nawiązywania głębokich i trwałych związków emocjonalnych z ludźmi. Poziom funkcjonowania emocjonalno-społecznego niedojrzały, występują u niego zaburzenia krytycyzmu. Stwierdzono skłonności do działań impulsywnych, słabą zdolność przewidywania skutków postępowania, mały wgląd we własne przeżycia, brak samooceny.

Zaburzenia charakterologiczne ograniczały umiejętność rozpoznawania czynów i pokierowania postępowaniem. Nie stwierdzono choroby psychicznej ani niedorozwoju umysłowego. W wypadku skazania na karę pozbawienia wolności winien ją odbywać — wnioskowano — w zakładzie dla skazanych wymagających stosowania szczególnych środków leczniczo-wychowawczych.

Zenon U. nie przyznał się podczas śledztwa do zabójstwa. Pamięta, iż był na weselu, ochoczo podstawiał kieliszek i spełniał toasty. Gdzieś szedł, gdy się ocknął zorientował się, że leży w jakimś pomieszczeniu na łóżku, a obok niego kobieta, ze zmasakrowaną głową. On był rozebrany i pokrwawiony.

Biegli po szczegółowych badaniach wysunęli wniosek, że Zenon U., zamroczony alkoholem doznawał halucynacji słuchowych, przeżywał silny strach, w trakcie którego występowały prawdopodobnie zmiany o charakterze chorobowym, co znosiło zdolność do rozpoznawania znaczenia czynu i pokierowania postępowaniem.

Trzeci z przebywających na obserwacji sądowo-psychiatrycznej to Grzegorz O. Dokonywał on włamań i napadów mieszkaniowych. W sali sądowej utrzymywał, iż jest niewinny. W celi usiłował się powiesić, nienaturalnie się zachowywał. Mówił niewyraźnie, niedorzecznie. Siedział bokiem do lekarza.

— Ja tam nie byłem, komandosi byli — powtarzał. — Raczej duchowo byłem, tą częścią, gdzie są aparaty.

— Dlaczego mówi pan niewyraźnie?

— Nie mam języka, w jamie znajduje się język tego drugiego — utrzymywał.

— Dlaczego pan na mnie nie patrzy?

— Oni desantują przez moje oczy, ktoś we mnie jest. Żyje z mojej świadomości. Dlatego nie mam serca, płuc. Nic nie mam.

— Zdaje pan sobie sprawę z tego, że halucynacje podlegają leczeniu środkami psychotropowymi?

— Jestem wariat, nie świruję, nie jest to mi potrzebne — oznajmił. Chcąc wywrzeć presję na biegłych głodził się, dokonywał samouszkodzeń.

Ustalono że jego sprawność umysłowa jest na przeciętnym poziomie, nie stwierdzono zaburzenia procesów intelektualnych bądź innego defektu organicznego w obrębie struktur mózgowych. Zaburzenia w sferze osobowości wyrażały się u niego m.in. niewykształceniem uczuciowości wyższej, skłonnościami do ulegania niekorzystnym wpływom otoczenia, alkoholizowaniem się, brakiem stałości w dążeniach i tendencji do stabilizacji życiowej, brakiem odpowiedzialności i umiejętności wyciągania wniosków z dotychczasowych doświadczeń, brakiem krytycyzmu, niskim progiem tolerancji na stres psychiczny. Wykazywał skłonności do reagowania agresją i autoagresją w sytuacjach dla siebie niekorzystnych. Miał zachowaną zdolność rozpoznawania znaczenia czynów i kierowania swym postępowaniem — napisano w konkluzji.

Powrócił do gabinetu ordynator oddziału. Przez dłuższą chwilę dyskutowaliśmy na temat przedstawionych wyżej opinii.

— Jeden z badanych uparcie utrzymywał, że w młodości kopnięty został przez konia, inny znowu, że wpadł do studni. Czy te informacje mają znaczenie przy wysuwaniu końcowych wniosków?

— Przyjmujemy, że tak było, jednak dla nas najważniejsze jest, jaki wpływ miał taki fakt na zmianę sprawności umysłowej. Decydujący dla przyjęcia lub odrzucenia ograniczenia w znacznym stopniu zdolności do kierowania swym postępowaniem jest nie pojedynczy objaw, lecz zespół i nie liczba cech psychopatycznych, ale nasilenie ich wpływu na zdolność przystosowania się do obowiązujących norm społecznych.

My ze swej strony czynimy wszystko, by jak najlepiej poznać osobowość przestępcy, a o jego winie, dalszych losach decyduje sąd.

JERZY KIRZYŃSKI

Staromiejski KOGEL-MOGEL

Komendant XVIII Komisariatu MO Warszawa Stare Miasto mjr Marek Luty nie powołuje się na słynne powiedzenie Napoleona o braku armat, lecz przytacza przemyślenia Sokratesa. Otóż ten zapytany o to, do kogo należy się zwrócić w razie choroby: do lekarza czy piekarza odrzekł, iż oczywiście do lekarza. Natomiast z dziurawymi butami należy szukać nie przedstawiciela służby zdrowia, lecz dobrego szewca. Rzecz bowiem w profesjonalistach.

— Podobnie rzecz się ma z milicją — utrzymuje mjr Luty. — Przecież interesanci odwiedzają nas nie dlatego, że jest to w dobrym tonie, lecz swój problem chcą powierzyć fachowcom.

Praktyka potwierdza — na co komendant komisariatu ani dajmy na to dyżurny nie mają większego wpływu — że z reakcją staromiejskiej milicji na zdarzenie różnie bywa. Powody też są rozmaite. Nie jest tajemnicą, iż załogę komisariatu stanowią żałosne resztki dawnej świetności, nadal też są i tacy, którzy nie mają serca do milicyjnej roboty ani nie pracują, bez tego obecnie ani rusz, z biglem.

Major zrezygnowany macha ręką, niewiele w tej materii może zrobić. Woli mówić więc o przyjemniejszej stronie pracy. Ot choćby na jego wniosek szef DUSW Warszawa - Śródmieście ppłk Jan Maj nagrodził: chor. Witolda Borowego, chor. Bogumiła Jancza i plut. Andrzeja Ładowskiego pieniężną premią za ujęcie na gorącym uczynku włamywacza do zaparkowanego samochodu. Podobnych przykładów, potwierdzających skuteczność działań jego podwładnych ma wiele, ale wie też, że fizyczną niemożliwością jest, aby jego ludzie byli wszędzie tam gdzie zachodzi tego potrzeba. Najlepiej o tym wiedzą dzielnicowi, którzy zajmują się wykrywaniem przestępstw oraz referat dochodzeniowy, do którego czynności należy procesowe dopracowanie spraw wykrytych.

Wchodzę do pokoju dochodzeniowców i zamiast, do czego jestem przyzwyczajony, widoku grupy mężczyzn widzę dwie zapracowane panie. Emancypacja nie ma końca...

Sierż. sztab. Wiktoria Surmańska przesłuchuje właścicielkę okradzionego samochodu, plut. Katarzyna Kapica przysłuchuje

się zeznaniom Janiny R., która przyszła ze skargą na męża. Istny babiniec...

— Dziwi to pana? — czyta w moich myślach mjr Luty. — Właściwie powinniśmy ogłosić upadłość, gdyż krótkiej kołdry nie da się już w żaden sposób naciągnąć. To deprymuje i frustruje. Przecież nadal czujemy się odpowiedzialni za to, do czego zostaliśmy powołani.

Plut. Katarzyna Kapica, choć nie ma większego doświadczenia milicyjnego, musi dawać sobie radę i dzięki pomocy swej starszej koleżanki sierż. sztab. Wiktorii Surmańskiej nie czuje się rozbitkiem na wzburzonym morzu. A tak właściwie wygląda sytuacja.

Jeszcze do niedawna prowadziły te postępowania, które przewidziane były rzeczywiście referentom, pieniądz stale traci wartość i wcale nie do rzadkości należy, że zajmują się dochodzeniami, w których suma

strat przekracza 20—30 mln złotych.

Dzielnicowi też borykają się z problemami. Zawaleni papierami nie mają czasu bezpośrednio przyjrzeć się temu, co dzieje się w ich rejonie. A to przecież główna ich powinność.

Starówka od lat przyciągała turystów. Od września 1980 r., kiedy to wpisana została na listę światowego dziedzictwa, wzięli ją w posiadanie przybysze z wielu stron świata. Tysiące ludzi fotografuje zabytkowe kamieniczki, kupuje obrazy, odbywa spacery dorożkami, zajada się lodami... ot normalne życie turysty.

Swobodne (czasami aż nazbyt) rozmowy, śpiewy itp. denerwują stałych mieszkańców, którzy widzą Stare Miasto oazą spokoju, ciszy. A tak nie jest. Jedni postulują więc zamianę kawiarenek na mleczne bary, drugim przeszkadzają samochody dostawcze, innym dorożki. Ślą pisma do władz miasta: „Od kilkunastu lat na Rynku Starego Miasta znajduje się postój dorożek konnych, które nie mają nic wspólnego z zabytkowym charakterem Starego Miasta. Przebywanie ich na naszym terenie jest przedmiotem ciągłych skarg oraz przyczyną kompromitacji Warszawy w oczach zagranicznych gości. Stwarzają antysanitarne warunki w całej naszej dzielnicy". Są

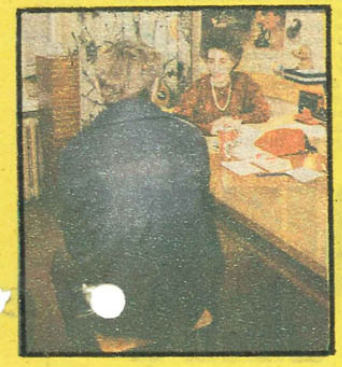

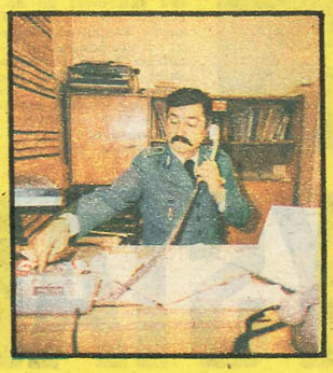

również osoby, których do pasji doprowadza widok gołębi...

Faktem jest, że zabytkowy charakter osiedla, w którym przyszło im mieszkać: wąskie uliczki, po których turkoczą dorożki, maszerują wczasowicze, turyści, ciemne, przechodnie bramy — nie ułatwiają życia ani stałym mieszkańcom, ani milicjantom.

Może gdyby tych drugich było więcej nie byłoby tylu bójek, kradzieży, oszustw itp. Istną plagą stał się obnośny handel doczesnymi dobrami. Stróże prawa są bezradni, trudno im bowiem w obecnej sytuacji społeczno-gospodarczej odróżnić (na potrzeby sądu czy kolegium) spekulanta od człowieka przedsiębiorczego. No bo jeśli ktoś sprzedaje swetry, książki itp. po wyższych cenach, jest to naganne czy nie? Kogel-mogel, czyli bądź tu mądry. Wystarczy, że milicjant zaczyna dopraszać się o okazanie dowodu osobistego, a już podnosi się wrzawa na ograniczanie praw człowieka. Przechodzi obojętnie czy nawet schodzi z chodnika, na którym szarogęsią się handlarze, skarga gotowa.

Co jednak powiedzieć o takich sytuacjach, kiedy np. przez pół godziny dwóch mężczyzn pod osłoną nocy usiłowało wyważyć drzwi do sklepu warzywniczego i nikt z okolicznych mieszkańców nie poinformował o tym dyżurnego? I to się dzieje w osiedlu, gdzie jeszcze żywe są w pamięci tajemnicze zabójstwa przy ul. Celnej, Długiej, Wąskim Dunaju, Szerokim Dunaju i ostatnie dokonane na osobie sędziego Michała B.

— Pracuję tu już 11 lat i przez ten czas nie było tylu morderstw co w ub. r. — stwierdza ze smutkiem mjr M. Luty. — Rośnie mur obojętności na los innego człowieka, jego czy państwowego mienia. Wierzę jednak, iż sprawcy zostaną wykryci. W specjalnie powołanej grupie operacyjno-śledczej znajdują się wybitni specjaliści, jej poczynaniami na bieżąco interesuje się komendant główny MO gen. dyw. Zenon Trzciński.

Komendant komisariatu z właściwą sobie swadą i energią kolejny raz mówi mi, że milicja staromiejska rozpada się. Po pierwsze nasze pomieszczenia nie są wizytówką stolicy, niewielu funkcjonariuszy dogaduje się z interesantami obcokrajowcami itp. Przed laty patrolowało teren 2—4 funkcjonariuszy oraz 2—3 radiowozy nie licząc sił SUSW. Obecnie milicjanta ze świeczką nie znajdzie. Komisariat prowadził wówczas 300—320 postępowań, w tej chwili teczek jest dwa razy więcej (przy kilka razy zmniejszonej załodze).

Starsi milicjanci uważają, że trzeba przeczekać tę falę, życie milicyjne według nich przypomina sinusoidę. Borykali się z punkami, shidami, wagarowiczami i licho wie kim jeszcze. Teraz panoszą się narkomani, szczególnie jednak obawiają się tych chorych na AIDS. Że taka choroba istnieje, przekonali się na własnej skórze.

Sprzedawczyni kiosku „Ruch" zdzieliła awanturującego się ćpuna szczotką w głowę. Polała się krew. Zjawili się funkcjonariusze z komisariatu i nieszczęśnika zabrali do radiowozu. Ten wyznał, iż jest nosicielem AIDS. Udali się z nim do pogotowia, stamtąd wyprawiono ich do szpitala zakaźnego przy ul. Wolskiej. Wrócili zrezygnowani do komisariatu. Prokurator (zaocznie) orzekł milicyjny dozór.

Zatrzymany odzyskał wolność, milicjanci zawinęli rękawy i zabrali się do usuwania śladów jego obecności. Dziś, na wszelki wypadek, mjr Luty przetrzymuje w szafie butlę z chloroaminą...

Mjr Marek Luty na podstawie doświadczenia i głosów swych współpracowników postuluje: przyznanie większej samodzielności niższym szczeblom decyzyjnym, a za główny miernik pracy uznać nie liczbę nałożonych mandatów, sporządzonych wniosków itp., lecz stopień aprobaty mieszkańców. Domaga się zmian awansowania milicjantów, dzielnicowych i wprowadzenia stopni specjalizacji. Spowodowałoby to większą motywację do samokształcenia, a tym samym poprawiło stan wiedzy zawodowej i prawniczej. Natomiast w tych jednostkach, w których jest więcej wakatów pieniądze przeznaczone na etaty przekazać do dyspozycji szefów, dając możliwość odpłatnego zatrudnienia funkcjonariuszy MO w nadgodzinach, emerytów i rencistów.

Dopóki nie uświadomimy sobie — dodaje — że nasza służba jest dla konkretnych społeczności, a nie dla mglistego pojęcia państwa, nadal uwikłani będziemy w rozwiązywanie tysięcy problemów i problemików.

JERZY KIRZYŃSKI
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

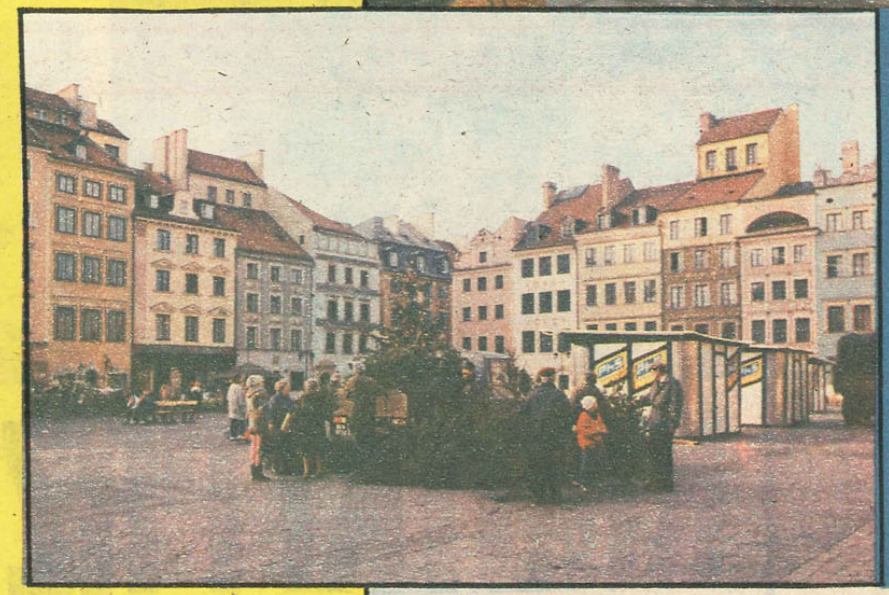

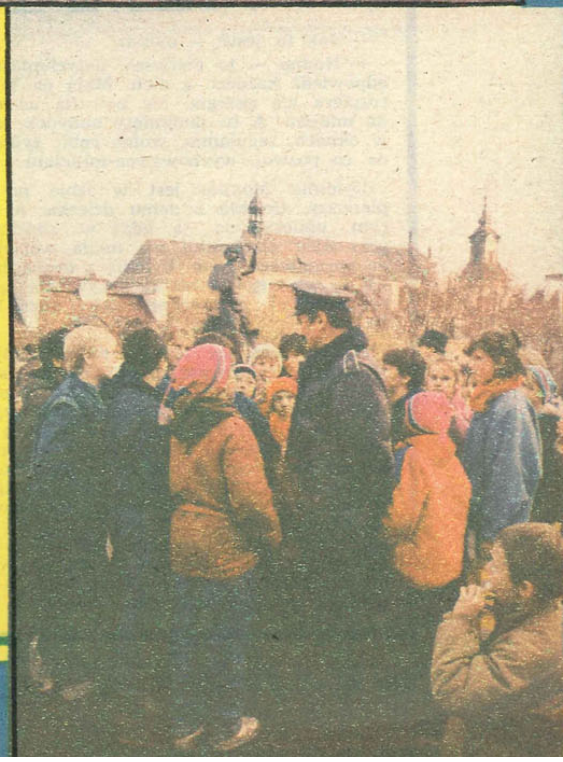

Dziś jest tu wyjątkowo pusto. W domu przy ul. Wiśniowej, gdzie mieści się warszawska Milicyjna Izba Dziecka przebywa zaledwie trójka nieletnich. Przed chwilą z ulgą skończyli obowiązkowe zajęcia szkolne i teraz w świetlicy Hubert i Piotr grają w ping-ponga, a Monika przegląda jakąś książkę.

KRÓTKI PRZYSTANEK

— Jak tu jest? — pytam.

— Nudno — to pierwsza, natychmiastowa odpowiedź każdego z nich. Mają po 16 lat, rozpiera ich energia, nie potrafią usiedzieć na miejscu. A tu zamknięty budynek, kraty w oknach, regulamin, wolno robić tylko to, na co pozwoli wychowawca-milicjant.

15-letnia Monika jest w izbie po raz pierwszy. Uciekła z domu dziecka, w którym umieszczono ją, gdyż w rodzinnym przy ojcu alkoholiku nie miała warunków do normalnego życia. Uciekła z domu dziecka do własnego, a matka przywiozła ją tutaj, by dalej „odstawiono" córkę, gdzie trzeba.

Po raz pierwszy jest tu także Hubert. Wczoraj przesłuchiwał go prokurator w sprawie napadu i zabójstwa. Parę dni wcześniej Hubert wraz z innymi kolegami po wyjściu z klubu „Hybrydy", nagle, bez żadnego powodu zaatakowali idącego ulicą chłopaka. Hubert nie wie, od czego się zaczęło, dlaczego kumpel wyciągnął nóż i ile razy dźgnął. W każdym razie chłopak zmarł natychmiast. Miał również 16 lat. Nóż był własnością Huberta, ale płacząc przysięga, że to nie on go użył. Przez tę chwilę, gdy płacze, ma w sobie coś z dziecka. Zaraz potem błaga o papierosa, zaciąga się głęboko i mówi: — Prokurator chyba mi uwierzył, skoro „nie przyklepał mi 148 a tylko 210 z dwójką". I znowu łzy: — Tak się boję, że moja babcia tego nie przeżyje. Jest poważnie chora. Ją jedną tylko kocham.

Matka zostawiła Huberta z ojcem, gdy miał kilka miesięcy i odeszła. Macocha nie cierpiała go od początku, zresztą z wzajemnością. — To ona zmarnowała mi życie — mówi 16-latek, dziecko w świetle prawa, któremu prokurator „przyklepał 210 z dwójką".

Historia Huberta to temat na zupełnie odrębną opowieść. Podobnie jak Piotra, jego rówieśnika, który trafił tu już po raz drugi. W lutym 1989 r. zatrzymano go za włamanie do samochodu, wczoraj (12 grudnia 1989 r.) złapano na gorącym uczynku kradzieży kieszonkowej.

— Za tamto pierwsze dostałem dozór kuratora, teraz czeka mnie schronisko dla nieletnich — mówi. Dlaczego kradł? Bo chciał mieć własne pieniądze, a od rodziców nigdy nawet złotówki nie otrzymał. Zawsze słyszał tylko: za młody jesteś na dyskoteki, za mały na to, za młody na tamto.

— Jak się pokłóciłem z ojcem, to poszedłem się upić — mówi Piotr, „za młody" na dyskoteki.

— Często pijesz?

— Ostatnio popijałem ostro, bo wszystko mnie wkur... Starzy się rozeszli, matka ma jakiegoś gacha, ojciec jakąś babę. Sąd przyznał mnie ojcu, ale ja nie chcę z nim być. Z matką też nie. Najlepiej z babcią. Zacząłem chodzić do zawodówki, ale wkur... mnie to wszystko, więc łażę na wagary. Forsy nie ma znikąd, to muszę sobie organizować — Piotr jeszcze bardziej niż Hubert trzęsie się do papierosa i gdy za zgodą kierowniczki izby zapala jednego — w drodze wyjątku — zaciąga się z westchnieniem starego nałogowca.

— Tu też mnie wszystko wkurza — mówi. — Nudno i niczego nie wolno.

— Więc staraj się tu więcej nie wracać...

Ba... Kiedy po wyjściu stąd szybko zapominają. Myślą o czymś zupełnie innym, pryskają mocne postanowienia, żyją chwilą, dniem dzisiejszym. Potem robią kolejny „numer" i znowu wracają tu...

„Powracający" — tak nazywają wielokrotnych bywalców izby tutejsi wychowawcy. Spośród dzisiejszej trójki jeden jest tu po raz wtóry i jest to prawie dokładna ilustracja proporcji widocznych od kilku lat. Około 25—30 proc. bywalców milicyjnych izb dziecka w kraju to ci, którzy trafiają tu po raz drugi, trzeci, dziesiąty...

Niektórzy zaczynają bardzo wcześnie. W Milicyjnej Izbie Dziecka SUSW wszyscy znają 16-letniego dziś Marka, który bywa tu regularnie od 10 lat. Był 6-letnim brzdącem, kiedy usmarkanego i zapłakanego znalazł go wieczorem na warszawskiej ulicy milicjant i przyprowadził tutaj. Chłopczyk nie wiedział, jak się nazywa ani gdzie mieszka. Powiadomiono wszystkie jednostki milicyjne i okazało się, że szukają go w Nowym Dworze. Malec po prostu sam wyszedł z domu przez nikogo nie pilnowany i przyjechał do Warszawy. To było w maju, a już we wrześniu Marek znalazł się w izbie ponownie. Brudny i zawszony powiedział, że uciekł, bo ojciec znowu się upił, a potem zbił matkę i jego. Wkrótce został umieszczony w domu dziecka. Gdy skończył 7 lat sąd skierował go do ośrodka szkolno-wychowawczego. Do 13 roku życia nie było z nim większych kłopotów, dopiero potem zaczęły się ucieczki z ośrodka, zatrzymywanie w izbach dziecka całego kraju i ponowne odwożenie. Do warszawskiej izby trafiał wiele razy. Najpierw tylko po ucieczkach, potem po dokonaniu przestępstw. Na tę drogę wszedł dokładnie w Nowy Rok 1987, kiedy o 23.00 milicyjny patrol na Pradze zatrzymał go niosącego stertę damskich i męskich ubrań, o których twierdził, że po prostu znalazł. Parę miesięcy później zawitał do izby złapany na włamaniu do samochodu, a potem przymusowe odwiedziny miały miejsce raz w miesiącu. Konto wyczynów Marka rosło, przybywało kradzieży i włamań. Jako 15-latek został zatrzymany za bicie dzieci i wymuszanie od nich pieniędzy. 9-letniemu chłopcu groził nożem, 10-letniej dziewczynce, że ją zgwałci. Często widywano go na Pradze, jak włóczył się po ulicach brudny, obdarty, głodny. A wszystko to w czasie, gdy był wychowankiem specjalnego ośrodka, który miał go przystosować do normalnego życia.

Mały 6-letni Mareczek, którego zapłakanego przyprowadził do milicyjnej izby dziecka milicjant, w ciągu 10 lat „resocjalizacji" wyrósł na Marka, który ucieka na widok funkcjonariusza, bo zawsze ma coś na sumieniu, a gdy da się złapać, trafia do izby dziecka prawie jak do siebie, by wyspać się przed dalszą drogą. Do sądu lub do ośrodka.

Parę dni temu milicja zatrzymała na włamaniu innego stałego bywalca izby, Darka. Inspektor z wydziału kryminalnego zadzwonił do izby, że chcą go przywieźć, aż tu nagle okazało się, że Darek przed kilkoma dniami skończył 17 lat. Tak więc z „powracającego" do izby stał się już całkiem dorosłym przestępcą. Nie udało mu się, nie zdążył zrealizować swoich planów przed pełnoletnością.

Kiedy bowiem kilka miesięcy wcześniej był tu ostatni (który to? osiemnasty? dziewiętnasty?) raz powiedział: — Jak mnie stąd zawiozą do poprawczaka, muszę uciec i zrobić jeszcze dwa włamania, które mam na oku.

Potem bastuję. Kończę z tym, bo jak mi stuknie siedemnastka zacznie się zupełnie inna odpowiedzialność. Jako nielatowi nic mi właściwie nie mogli zrobić, teraz grozić mi będzie więzienie. Koniec balu, czas się ustatkować.

No i nie zdążył...

Od 3 lat Darek wracał do izby jak bumerang. 14-letni chłopak z Brzeskiej, którego po rozwodzie rodziców wychowywała babka i ulica, po raz pierwszy trafił tu za włamanie do mieszkania. Był wtedy miłym, drobnym chłopczykiem, trochę wystraszonym, ale dość kontaktowym dzieckiem. Parę miesięcy później przywieziono go ponownie, tym razem czekał na sprawę za włamanie do sklepu. Potem przywożono go do izby zatrzymywanego po kolejnych ucieczkach z ośrodka wychowawczego, w czasie których dokonywał następnych przestępstw.

„Swoje zainteresowania mam bardzo małe. Interesują mnie samochody sportowe, ponieważ jeżdżą szybko i mnie to bardzo dziwi, bo nasze samochody jeżdżą w porównaniu z nimi bardzo wolno. Marzenia na przyszłość mam bardzo skromne, chciałbym wyjść z zakładu i nie trafić tu nigdy więcej ani do kryminału, nie włóczyć się więcej po komendach i izbach dziecka całej Polski. Plany mam krótkie i mało przemyślane, chciałbym mieć dom, dzieci, rodzinę i dobrą atmosferę domową. Żeby dzieci nie trafiły do zakładu ani do kryminału, żeby nie było z nimi

kłopotów. Myślę, że mi się to uda, bo dużo przeżyłem i wiem, jak postępować z żoną i dziećmi". — napisał jak grzeczny 15-letni chłopczyk. Był wtedy zatrzymany w izbie za dokonanie rozboju.

Mając 16 lat stał się specjalistą od wchodzenia drzwiami balkonowymi na włamania mieszkaniowe oraz od włamań do pewexów. Wychowawczyni w izbie chwalił się, że ma rozpracowane systemy alarmowe w pewexach, kolegom opowiadał, że w piwnicach pochował sprzęt elektroniczny z włamań, do którego istnienia nigdy się nie przyzna, w czasie przesłuchania był twardy jak doświadczony przestępca i nikogo ze wspólników nie wydał.

„Taki młody człowiek nie wie co robi, nie zdaje sobie sprawy, co mu grozi. Myślę, że jak milicja złapie młodego człowieka na przestępstwie, to powinna mu darować pierwsze dwa, trzy razy, bo niektórzy kradną dlatego, że nic matka ani ojciec im nie kupi, a oni też chcą mieć ładne ciuchy i pieniądze tak jak koledzy". — napisał w odpowiedzi na pytanie: „jakie czynniki powodują wkraczanie młodzieży na drogę przestępczości?" Zaraz potem trafił do izby ponownie podejrzany o udział w zbiorowym gwałcie, a w parę miesięcy później za kolejne włamanie do pewexu. Wszystko to podczas ucieczek z ośrodka, a później z zakładu poprawczego.

Miły, drobny chłopczyk rósł i dojrzewał. Za każdym pobytem był to coraz inny Darek. Szybko zanikały w nim dziecięce odruchy, potrzeba kontaktu, ciepła, znikła zupełnie nieśmiałość. Był coraz pewniejszy siebie, zamknięty, zły. Coraz lepiej ubrany, butnie obnosił swoje adidasy, „Pumy" i inne pewexowskie bajery, wyraźnie gardząc gorzej ubranymi.

„Ja Dariusz J. nie będę się uczyć, bo nie lubię i nie chcę, a jak nie będę mógł tu palić papierosów, to zaczniemy się buntować. I stanie się coś złego w izbie". — napisał w czasie obowiązkowych zajęć, podczas jednego z ostatnich pobytów...

I oto dzisiaj „powracający" Darek J. przestał być klientem izby dziecka. Czy stanie się również „powracającym" w całkiem już dorosłym więzieniu?

Por. Izabella Szustakiewicz, zastępca kierownika warszawskiej izby, nie jest zaskoczona. Tego właśnie można było się spodziewać. Od 14 roku życia Darek dojrzewał błyskawicznie i właściwie jego droga szła wyraźnie w jednym kierunku. Czy nie można było nic zrobić?

— Tu w izbie, nic — mówi por. Szustakiewicz. — My jesteśmy przecież tylko przejściówką, taką trochę przechowalnią, w której zatrzymuje się nielata do sprawy lub w oczekiwaniu na konwój, ale nie dłużej niż 72 godziny. 2—3 doby kontaktu, to za mało na jakąkolwiek pracę resocjalizacyjną. Do tego powołane są zupełnie inne, specjalne placówki: schroniska dla nieletnich, ośrodki wychowawcze, zakłady poprawcze...

Skuteczność ich systemu resocjalizacyjnego pokazują dziesiątki takich Darków, Maćków, Piotrków, którzy dopiero w tych placówkach szlifują złodziejskie umiejętności i złe nawyki, sprawdzane potem praktycznie w czasie najbliższej ucieczki. Złapani wracają do tego samego zakładu, bogatsi o nowe doświadczenia, które przekazują innym. I tak koło się zamyka.

Cały system resocjalizacji młodzieży jest zły. Zły organizacyjnie, bo zależy od działań zbyt wielu instytucji i resortów, a nie skupiony jest w jednych rękach, zły merytorycznie, bo nie dostosowany do czasów i skali problemu. W efekcie co trzeci kilkunastolatek, któremu raz zdarzyło się trafić do milicyjnej izby dziecka będzie tu wracał, a izba stanie się dla niego aż do pełnoletności krótkim, wielokrotnym przystankiem na trasie prowadzącej do więzienia...

Poważne i dogłębne zajęcie się problemem resocjalizacji nieletnich, którzy weszli w konflikt z prawem jest dziś o wiele pilniejsze i potrzebniejsze niż dyskusje o amnestii. Ponieważ tuż pod bokiem dyskutujących rośnie coraz większa armia przyszłych przestępców.

ELŻBIETA SITEK

zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

SMAK ZAŻALENIA

Minęło parę miesięcy istnienia instytucji zażaleń na zatrzymania przez milicję, instytucji nowej w naszym prawie i życiu społecznym.

Milicja nadal ma prawo zatrzymywania ludzi podejrzanych o przestępstwo, w obawie, że mogą uciec lub zatrzeć jego ślady. Ma także prawo zatrzymać nietrzeźwego, oraz inną osobę z powodów prewencyjnych, oczywiście najwyżej na 48 godzin. Milicja ma obowiązek niezwłocznie pouczyć zatrzymanego o przysługującym mu prawie do zażalenia. Zatrzymany ma prawo złożyć zażalenie w ciągu 7 dni od zatrzymania, to znaczy już po zwolnieniu. Chyba że prokurator zamienił zatrzymanie na aresztowanie, a to wiąże się z utratą prawa do zażalenia. Kontrowersje budzi zatrzymanie do wytrzeźwienia, często — w świadomości delikwenta — niepotrzebne i krzywdzące.

W październiku 1989 roku na terenie samego Lublina MO zatrzymała 134 osoby. Do Wydziału Karnego Sądu Rejonowego w Lublinie wpłynęło 8 zażaleń na zatrzymanie przez MO. Znamienne, że sąd nie uwzględnił żadnego zażalenia, uznając słuszność milicyjnych działań. Kto skarżył? Trzech podejrzanych o rozbój, dwóch o włamanie do samochodu, trzech o paserstwo i kradzież z mieszkania.

Przykłady? Do Lublina przyjechał z Wybrzeża 37-letni mężczyzna. Był już karany, nigdzie nie pracował, nie miał stałego miejsca zamieszkania. Przypadkowo poznał kobietę, która czuła się bardzo samotna, bo mąż właśnie przebywał w więzieniu. Przyjezdny trafił do jej łoża i... okradł ją. Po jakimś czasie zobaczyła go w kawiarni, wskazała funkcjonariuszowi MO, szczegółowo opisała tatuaże przelotnego herosa.

Kolejna nowość. Dotąd wystarczyło poznanie treści akt postępowania przygotowawczego. Teraz sąd może rozmawiać z zatrzymanym, jeżeli uzna to za konieczne. A co się dzieje, jeżeli akurat jest niedziela, czy sięgnięcie przez człowieka zatrzymanego po długopis i kartkę papieru okaże się skuteczne? Okazuje się, że w niedzielę i w dni ustawowo wolne od pracy sędziowie pełnią dyżury, pracują także w wolne soboty. Każdy pozbawiony wolności nawet na 48 godzin ma szansę na bezzwłoczne rozpatrzenie jego zażalenia przez sąd.

Jeżeli porównać liczbę zatrzymanych z liczbą zażaleń, w dodatku bezzasadnych, okazuje się, że MO nie nadużywa władzy i cały ten szum wokół praw przestępcy był dmuchaniem na zimne. Z drugiej jednak strony, już sam fakt istnienia kontroli sądowej, wpływa profilaktycznie na pewne — istniejące przecież — zakamarki patologii w naszym resorcie. Niech prawo znaczy prawo, a sprawiedliwość sprawiedliwość.

HE-MAK

DARMOWE LEKI TO PRZYWILEJ?

Funkcjonariusze RUSW w Raciborzu wystosowali do Zarządu Rad Funkcjonariuszy SB i MO w Katowicach list, w którym wyrażają swe zaniepokojenie propozycjami likwidacji bezpłatnego przydziału leków dla Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa.

Pismo z prośbą o przekazanie protestu ministrowi spraw wewnętrznych odczytano na zebraniu inicjatywnym NSZZ Funkcjonariuszy MO i SB województwa katowickiego.

„Zgodnie ze składaną przysięgą, każdy funkcjonariusz ma obowiązek nie szczędzić życia i zdrowia dla dobra obywateli i ochrony porządku publicznego — twierdzą autorzy listu — więc pozbawienie nas bezpłatnych leków byłoby niesprawiedliwe (...)"

— Nie bronimy bynajmniej nienależnych przywilejów — uzupełnia przewodniczący Rady Funkcjonariuszy RUSW, mł. chor. Michał Sroka — lecz niezbędnych zdobyczy socjalnych. Wiemy, iż nie tylko funkcjonariusze resortu spraw wewnętrznych wykonują społecznie potrzebne obowiązki. Równie trudne i odpowiedzialne są zajęcia górników, marynarzy, transportowców. Tyle tylko, że żaden z nich nie jest zobowiązany przez ustawę do składania ślubowania, którego fragment wymaga narażania zdrowia i życia.

Skoro tak, to ochrona życia i zdrowia funkcjonariuszy MO i SB nie jest tylko ich sprawą prywatną, lecz także powinnością państwa.

Dodam jeszcze, że bez mała wszyscy funkcjonariusze przeznaczają 0,5 proc. swych zarobków na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia. Łatwo obliczyć, że każdy w skali roku oddaje na ten cel wiele tysięcy złotych, a więc kwotę, która z pewnością przewyższa cenę wydanych im medykamentów.

AKP

ODJECHAŁY WOZY KOLOROWE

Kilka rozbojów, parę włamań obciążających konto pewnej grupy. Można by rzec – banalna sprawa, zwłaszcza wobec ich mnogości. Ale nie, z tą rzecz miała się inaczej, gdyż nadali jej szczególnego kolorytu sami sprawcy w osobach Cyganów.

Kto nie zetknął się z Cyganami jako podejrzanymi, ten mało wie o trudach dochodzenia do prawdy. Niewiele też wie o najpełniejszej klanowej solidarności.

Lato 1987 roku. Niedaleko od Poznania, przy trasie wiodącej do zachodniej granicy, motel w Przeźmierowie. Lubiany przez kierowców TIR, bo w sąsiedztwie miasta i z dużym parkingiem. Lubiany również przez „tirówki".

W czerwcu napłynęło pierwsze zgłoszenie, a w lipcu kolejne. Oba napady na zachodnioniemieckich kierowców miały bardzo podobny przebieg: do kabiny samochodu podchodziła dziewczyna, zagadywała jak umiała, wyłudzała papierosy, piwo i zachęcała do wyjścia z samochodu. Wtedy pojawiało się dwóch lub więcej mężczyzn, którzy uderzeniami i kopniakami skłaniali wytypowanego klienta do pozbycia się gotówki, obrączki, zegarka.

Ciemne, ustronne miejsce sprzyjało napastnikom, pobici i okradzeni nie byli w stanie podać rysopisów, ba, zaatakowani znienacka mieli nawet wątpliwości co do liczby sprawców.

W tej sytuacji trudno się specjalnie dziwić, że mimo podjętych działań wszystko utknęło w martwym punkcie.

Noc z 11 na 12 sierpnia 1987 r. zaowocowała kolejnym zdarzeniem w serii. Tym razem ofiarą padł Tunezyjczyk o imieniu Neji, od kilku lat mieszkający w Polsce, gdzie zdążył się już ożenić, rozwieść i ponownie ożenić. Ostatnio prowadził w Puszczykowie pizzerię. Czasem — jako że charakter miał rozrywkowy — lubił urwać się z domu i zaszaleć. Nie muszę chyba dodawać, że te eskapady nie wzbudzały w żonie szczególnego entuzjazmu.

Owego wieczora wpadli do lokalu znajomi z Berlina Zachodniego. Ponieważ miłą atmosferę zakrapianej kolacyjki mąciły telefony z domu, a stroskana małżonka pytała, czy to już nie dość na dziś, panowie postanowili wyrwać się spod zdalnej kurateli. Około godz. 23.00 wyruszyli do Poznania, pechowo jednak nie zastali przyjaciół. Pomysł wyprawy do Baranowa nie zachwycił z kolei Neji'ego, który odłączył od grupy i skłonny był wracać skruszony w rodzinne pielesze.

Stał na poboczu i cierpliwie czekał na życzliwego kierowcę. Miał szczęście. Wkrótce zjawiła się taksówka i posłusznie zatrzymała na jego skinienie. Widząc kilkoro pasażerów zamierzał zrezygnować, ale okazało się, że druga strona nie ma ochoty ... rezygnować z niego. Wciągnięty siłą do samochodu czekał z bijącym sercem na dalszy rozwój wypadków. Na nic nie zdały się protesty, że jadą w przeciwnym — niż on żądał — kierunku.

Całe towarzystwo dotarło do zajazdu „Ławica" około północy, kierowca zatrzymał się w odległości 100 metrów od budynku. Kopniaki, wykręcanie rąk, utrata pieniędzy, złotego sygnetu i wisiorka — oto co spotkało amatora nocnych wypraw.

Swych prześladowców opisał Neji jako ludzi o smagłych twarzach. Z wyglądu Arabowie, ale z języka — jak zapewniał — Cyganie, zetknął się z nimi bliżej w Berlinie, to wie co mówi. Ponieważ wątek cygański przewinął się już poprzednio, to kazało się zatrzymać nad nim dłużej.

Stopniowo, krok po kroku, udaje się dotrzeć do pierwszego ogniwa, do blisko 30-letniej Ewy, czyli po cygańsku Brumy. Handlującą zazwyczaj złotymi wyrobami przed „Polsrebrem" kobietę rozpoznaje bez trudu, w grupie dobranych do okazania, Neji.

Ewa wpada w szał, krzyczy, że „ma dziecka", że nic wspólnego z tą sprawą, żeby dać jej spokój. Dostaje jednak sankcję. Wtedy podrzuca kąski zastępcze — za sprawcę rozboju podaje brata (zmarłego, dodajmy...), napomyka coś o Krystynie — Kiresz, że to może zamiast niej siedzi. Zatrzymanie Ewy wywołuje najazd mercedesów z całej niemal Polski, to Cyganie przybywają na

DOLAROWE SERCE GRAMOFONU

Kryminolodzy zgodnie twierdzą, że przestępstwa są zwierciadłem czasu, w którym zostały popełnione. Oczywiście, nie wszystkie. Ale w większości bez trudu można odnaleźć specyficzne cechy, związane z występującymi zjawiskami: cywilizacyjnymi, ekonomicznymi czy socjologicznymi.

Zawrotne ceny walut zachodnich na polskim rynku podsycają żądzę ich posiadania zarówno u elementu przestępczego, jak i u wielu innych osób, zwłaszcza młodych, które pragną realizować swoje marzenia za pośrednictwem pewexów.

Tak było w przypadku zabójstwa 69-letniej Kazimiery T. Mieszkała samotnie w Łodzi przy ul. Plantowej. Prawie w każdy pogodny dzień, wczesnym rankiem wynosiła na balkon pościel. 24 kwietnia 1989 roku kołdra i poduszki tkwiły na sznurze do późnego wieczora. Sąsiadka pani Kazimiery uznała to za rzecz niepokojącą.

— Coś się stało — orzekła. — Pani Kazimiera zdejmowała pościel zawsze przed godziną siedemnastą — mówiła do 19-letniego syna. — Trzeba wyświadczyć sąsiadce przysługę. Wejdź Maćku na balkon pani Kazimiery i podaj mi tę pościel. Weźmiemy do siebie, bo się zrosi.

Maciek bez trudu przeskoczył sąsiednią balustradę. Wilgotną już pościel podawał matce. Równocześnie stwierdził, że drzwi balkonowe są zamknięte od wewnątrz. Matka chłopca skomentowała ten fakt następująco: albo pani Kazimiera przebywa u córki, gdzie mogła się zasiedzieć, albo zasłabła i leży w mieszkaniu.

Święcie wierzyła w tę pierwszą wersję. Od pewnego czasu bowiem pani Kazimiera miała nieco ograniczone możliwości odwiedzania krewnych. Sprawowała opiekę nad dziesięcioletnią wnuczką, oddaną pod opiekę babci. Wnuczka mieszkała z babcią. Pani Kazimiera miała więc sporo obowiązków.

Obecnie dziewczynka przebywała w sanatorium. Był to dla pani Kazimiery okres względnego luzu. Robiła sobie co nieco do jedzenia, a później szła do sąsiadów na „ploteczki". Częściej niż przedtem urządzała dłuższe spacery. M. in. do krewnych rozsianych po całej Łodzi.

Pani Kazimierze potrzebne były pieniądze na wykup mieszkania. Sprawa znajdowała się już w toku, zbliżał się termin wpłaty do banku większej kwoty złotówek.

— Trzeba będzie sprzedać trochę dolarów — mówiła sąsiadom. — Nie wiem tylko, po ile teraz są i gdzie z nimi iść. Czy to już można tak jawnie? Bo nie lubię łamać prawa.

— Sąsiadki, zorientowane w sytuacji, radziły pani Kazimierze, by się nie spieszyła.

— W tej chwili lepiej pożyczyć brakujące pieniądze, a ze sprzedażą dolarów trochę poczekać — sugerowały.

O finansowym dylemacie pani Kazimiery sąsiadki mówiły w rodzinnych domach. Nic dziwnego, iż krąg wtajemniczonych wciąż się rozszerzał.

Pani Kazimiera nie wróciła jednak na noc. Matka Maćka postanowiła działać. Znając adres córki sąsiadki, rankiem 25 kwietnia pojechała tam.

— Nie było jej u mnie. A może zachciało się mojej mamie odwiedzić wnuczkę? Uważam to za realne. Obydwie bardzo się kochają. Jednakże dla pewności zajrzymy do mieszkania. Mam drugi komplet kluczy.

Po upływie niecałej godziny obie panie stanęły przed drzwiami Kazimiery T. To, co zobaczyły w mieszkaniu przerosło ich wyobraźnię. Kazimiera T. leżała rozciągnięta na podłodze. W okolicy jej serca tkwił długi, kuchenny nóż, wbity aż po rękojeść.

Na miejsce zbrodni przybyła ekipa operacyjno - dochodzeniowa. Podczas oględzin zwłok lekarz stwierdził, że kobieta zginęła wprawdzie od ciosu nożem w serce, ale zanim nóż zagłębił się w ciało, otrzymała dwa silne ciosy w głowę.

— Zabójcą mógł być człowiek nie przygotowany do tego czynu. Zostawił bowiem mnóstwo doskonale odciśniętych, nadających się do identyfikacji śladów linii papilarnych — oznajmił ekspert kryminalistyki. — Są nie tylko na meblościance, ale również na wewnętrznej i zewnętrznej stronie drzwi balkonowych.

Chodziło teraz o materiał porównawczy. Sięgnięto więc do znanych milicji, a przebywających na wolności złodziei, zwłaszcza włamywaczy. Typowania przeprowadzono w miarę szybko i dokładnie. Prawie każdy przypadek badań wiązał się z przygotowaną przez służbę kryminalną wersją zdarzenia. Ale osoby, która pozostawiła ślady w bloku przy ulicy Plantowej, nie było.

Funkcjonariusze milicji rozmawiali z wszystkimi sąsiadami Kazimiery T. Chcieli się zorientować, kto u niej bywał, kogo przyjmowała wielokrotnie, darzyła zaufaniem itd. Bo przecież ten ktoś został wpuszczony do mieszkania swej ofiary, więc musiała go znać. Sprawy urzędowe załatwiała przy drzwiach zaledwie uchylonych i spiętych łańcuchem. I co najciekawsze: zabójca Kazimiery T. przed dokonaniem okrutnego czynu lub po, wychodził na balkon. Tam bowiem ekspert kryminalistyki odkrył ślady linii papilarnych identycznych z tymi, które przestępca zostawił na wewnętrznych drzwiach balkonu i meblach. Po co wychodził na balkon? Czy nie bał się, że zo-

ratunek. Hałaśliwy tłum, od starców po niemowlęta przy piersi, obstawia areszt, rejonowy urząd, prokuraturę.

— Ona bezwinna! — zgodnym chórem powtarzają bracia, szwagrowie, kuzyni. I jak barana na rzeź przyprowadzają „właściwą sprawczynię", czyli Kiresz. Biedne popychadło z ubogiego, podrzędnego rodu, nie mogące nawet marzyć o pozycji Ewy i o poparciu rodziny. Dwudziestoletnia matka trójki dzieci (w tym 7-letniego!) z zapałem godnym lepszej sprawy obwinia siebie, próbuje zdać relację ze wszystkich trzech napadów, ale idzie jej to nieskładnie, widać, że lekcja wyuczona w pośpiechu. Zwolnienie Kiresz przez prokuratora wywołuje niezadowolenie oczekujących za drzwiami jej współrodaków, na powrót wpychają nieszczęsną do pokoju, przed oblicze surowej władzy. Gdy i powtórka okazuje się nieskuteczna, następnego dnia wiodą kobietę do RUSW, gdzie znów snuje swe karkołomne opowieści, wspominając wszak nowy konkretny szczegół — biały fiat taksówka, ze śnieżnobiałymi zagłówkami (o tym mówił także Neji).

Do siedzącej w areszcie Brumy dołącza wreszcie Kiresz, ale za... składanie fałszywych zeznań i utrudnianie postępowania.

Funkcjonariuszom udaje się ustalić, że konto przestępczej grupy obciążone jest łącznie większą liczbą czynów: 6 rozbojów, 3 włamania do TIR-ów. Teraz najważniejsze staje się odnalezienie taksówkarza, co szczęśliwie przydarza się szybko. Wystraszony młody człowiek mówi, że było tak: kiedyś na postoju wsiadło do niego kilku Cyganów, a on powiedział, że w razie potrzeby jest gotów, za godziwą zapłatą, świadczyć usługi i wręczył wizytówkę.

Po pewnym czasie został zaproszony na Jeżyce i poczęstowany kolacyjką, a potem podjęli rozmowę o tym, że warto oskubać pijaków. I tak zaczęli polowania na klientów.

W obawie przed zemstą Cyganów, taksówkarz może liczyć na ochronę, ale nikt go nie niepokoi. Inaczej z Nejim — do niego dwukrotnie przychodzi matka rodu (królewskiego, zresztą) w towarzystwie rosłych chłopów i grozi spaleniem, gdy nie wycofa zeznań oraz dla odmiany — nagrodą, gdy będzie rozsądny...

Tymczasem ustaleni z wielkim trudem, główni sprawcy rozbojów, Princo i Kuba, po prostu znikają. Rozpoczynają się żmudne poszukiwania. Po pewnym czasie sygnał — Kuba jest w Legnicy. Milicjanci jadą tam natychmiast wraz z prokuratorem (w jego wolnym czasie!), podążają śladem familijnych kontaktów Kuby. Pojawia się wątek jego szwagra z Lublina, Tarzana, który — gdy funkcjonariusze stanęli u drzwi — wyrzucił przez balkon gotyckie figury sakralne, ukradzione z kościoła. Kuby tu jednak nie było. Nieco później nadeszła wieść o jego usilnych (i wartych ciężkie miliony) staraniach o paszport. Co nie udało się jednemu, to wyszło fartownie drugiemu, gdyż Princo w jakiś sposób wyjechał z Polski...

Prowadzone wiele dni obserwacje, posiłki jedzone w pośpiechu w samochodzie, nerwowe wyczekiwanie, to wszystko szło na marne.

I nagle, w Wigilię, zarządzony powrót do Poznania. Kuba ma ponoć być na imieninach u Ewy — Brumy, zwolnionej na krótko przed świętami. Dwaj funkcjonariusze pukają, wchodzą, od razu dostrzegają rozpartego za stołem Kubę. Ale cóż, gości mrowie, więzy krwi silniejsze nad wszystko i nic tu nie zdziałasz wymachując służbową legitymacją. O tym wiedzieli. Wątpliwości miała natomiast sama solenizantka i tak na „wszelki wypadek" rzuciła w kierunku przybyłych pieczonym indykiem, czyniąc przy tej okazji spore spustoszenie na suto zastawionym stole.

— Ale my tylko wpadliśmy na imieniny — to wytłumaczenie wywołało niemałą konsternację. Zaraz potem znalazło się godne miejsce przy wieczerzy.

Kolejne więc fiasko.

Wreszcie zatrzymany został Kuba u swego wujka w Zabrzu, z 7 na 8 marca 1988 roku.

Milicjanci mówią, że narobili się przy tej sprawie jak wariaci, niezwykła solidarność i hermetyczność środowiska wyznacza bowiem ciasne ramy ograniczające swobodę jakichkolwiek ustaleń. Czy warto było? — zastanawiają się czasem.

Princo wyjechał gdzieś w świat, Ewa — umorzenie, Kiresz — zwolniona, bo znów w ciąży i też przepadła bez wieści, Kuba zwolniony za poręczeniem majątkowym w wysokości 10 mln zł, Hugo — 2 mln (brał udział w jednym z napadów). Pokrzywdzeni Niemcy nie mają ochoty zjawić się w Polsce, sam Neji wyjechał z jakąś kelnerką do Berlina Zachodniego. A rodzice Kuby przekonują ze spokojnym uporem:

— Panie prokuratorze, nasz syn bezwinny, on tylko szwabów robił, a oni w czasie wojny naszego tatusia zabili...

JOLANTA ŚLIFIERZ
zdj. K. Mokrzyszewski

stanie przez kogoś przypadkowo zauważony?

— Wchodził tam również mój syn, Maciek — wyjaśniła funkcjonariuszom milicji sąsiadka zabitej. — Ja mu kazałam, żeby przerzucił do nas pościel pani Kazimiery.

Aby wyeliminować te ślady, ekspert kryminalistyki pobrał od Maćka odciski linii papilarnych. Badając je, nie wierzył własnym oczom. Materiał porównawczy był tym razem identyczny z zabezpieczonym podczas oględzin mieszkania.

— Czy możliwe, iż zabójcą jest ten chłopiec? — pytano się nawzajem. — Przecież to najbliższy sąsiad, syn przyjaciółki Kazimiery T.

Funkcjonariusze milicji muszą, i to dość często, przyjmować nieprawdopodobne wersje, wierzyć w to, co jest wprost nie do wiary. Postanowili więc zatrzymać 19-letniego Maćka i dokonać przeszukania w mieszkaniu jego rodziców.

— Czy odwiedzałeś panią Kazimierę? — zapytał jeden z funkcjonariuszy dochodzeniowo-śledczych.

— Tak i nie — odparł młody mężczyzna. — Tak, bo kiedyś u niej byłem, ale bardzo dawno temu.

— Jak dawno?

— Ze trzy lata temu. Matka mnie tam wysłała. Po co? Tego już nie pamiętam.

— A może wszedłeś na chwilę i przypadkowo, przy zabieraniu bielizny?

— Skądże. Balkon był zamknięty od środka.

— Czym więc byś wytłumaczył obecność swych śladów w mieszkaniu sąsiadki?

— Nie wiem, nie znam się na tym. Może ten morderca miał identyczne z moimi — odparł spokojnie Maciek.

Matka Maćka była wręcz oburzona.

— Co ci milicjanci wyprawiają?! — wołała głośno. — Podejrzewać mego syna? Bardzo lubił i szanował panią Kazimierę. Gdy o coś prosiła, spełniał tę prośbę natychmiast.

Potwierdzili to również inni sąsiedzi.

Jeszcze więcej zdenerwowała się pani K. w momencie, gdy funkcjonariusze milicji stanęli w jej progu i oznajmili, że zmuszeni są dokonać przeszukania w mieszkaniu. Okazali prokuratorski nakaz.

— Co za wstyd — mówiła pani K. — Pierwszy na tę skalę od chwili odejścia męża. Wierzcie mi panowie, że wychowuję syna jak należy. On nikogo jeszcze nie pobił, a cóż dopiero mówić o zabójstwie tak dobrej kobiety.

Zaczęło się jednak przeszukanie. Na wstępie funkcjonariusze milicji zapytali panią K., czy Maciek nie przynosił do domu jakichś rzeczy, np. z pewexu i czy ona posiada dolary. Wiedzieli bowiem z relacji córki Kazimiery T., iż morderca wyniósł pewną kwotę tej waluty z mieszkania swej ofiary.

— Dolarów nie posiadam — oznajmiła pani K.

— A to co? — zapytał w pewnej chwili funkcjonariusz uczestniczący w przeszukaniu.

W gramofonie należącym do Maćka tkwiło... 50 dolarów USA.

Pani K. zbladła jak ściana. Obawiano się, że straci przytomność. Tak bardzo wierzyła w uczciwość syna. Miał przecież wszystko, o co prosił. Te dobre warunki materialne zapewniali mu obydwoje: ona i mieszkający w innym mieście eks-mąż, ojciec Maćka. Ponadto — zamożna babcia.

Maciek, ujrzawszy znalezione w jego gramofonie dolary, skapitulował.

— Od dawna planowałem to zabójstwo — wyjaśnił spokojnym głosem. — Wiadomo mi było, że pani Kazimiera posiada sporo dolarów. Mówiła o tym na podwórzu, w obecności sąsiadów. Sam też słyszałem, jak pytała o czarnorynkowy kurs. Postanowiłem je zdobyć. Nosiłem się z zamiarem kupienia sobie wielu rzeczy oraz wyjazdu za granicę. Każdy z moich kolegów posiadał ileś tam dolarów. Moją ambicją było, by im dorównać.

W oznaczonym przez siebie dniu, Maciek nie poszedł do szkoły. Wychodząc z domu zabrał młodzieżową torbę, włożył do niej duży i ciężki hydrauliczny klucz.

Zadzwonił. Otworzyła drzwi zapięte na łańcuch. Widząc jednak sąsiada, poprosiła go do środka. Powiedział, że ma do niej prośbę.

— Wejdź dalej — powiedziała ruszając w kierunku pokoju. Szedł za nią.

„Teraz albo nigdy" — powiedział sobie wiedząc, że z przodu nigdy nie miałby odwagi jej zaatakować. Szybko sięgnął po klucz. Mając go w ręku podbiegł do pani Kazimiery i zadał pierwszy, potężny cios w tył głowy. Zachwiała się, zaczęła obficie broczyć krwią.

Maciek rozpoczął penetrację mieszkania. Już po kilku minutach znalazł 50 dolarów. Spojrzał na Kazimierę T. Odzyskiwała przytomność. Spod uniesionych powiek zdrowej i silnej fizycznie kobiety patrzyły na Maćka duże, szare oczy. Tego nie mógł znieść. Pobiegł do kuchni, chwycił do ręki nóż z długim, siedemnastocentymetrowym ostrzem. Wrócił do pokoju, nachylił się nad swą ofiarą i bez wahania zadał cios w okolice serca. Kobieta wydała cichy jęk, chwyciły ją konwulsyjne drgawki. Po chwili znieruchomiała.

Maciek wiedział, że sąsiadka ma znacznie więcej dewiz, ale bał się dłużej pozostawać w jej mieszkaniu. Wychodząc, zaryglował drzwi od zewnątrz. Klucze wrzucił do ulicznej studzienki.

Krążył po mieście, a gdy nadeszła godzina powrotu ze szkoły, zjawił się w domu. Nigdzie już nie wychodził. Słuchał muzyki z płyt i taśm, a wieczorem, spełniając prośbę matki, wszedł na balkon pani Kazimiery, by zdjąć zroszoną pościel.

EDWARD NOWAK

PLAGA W LICZBACH

W czasopiśmie „Więź", wydawanym przez paryską prefekturę policji, opublikowano wyniki badań, z których wynika, że w latach osiemdziesiątych nastąpił we Francji gwałtowny wzrost konsumpcji heroiny. Powoduje to w społeczeństwie zjawiska zależności zarówno psychologicznej, jak i finansowej. Skutki tych zjawisk są coraz groźniejsze, szczególnie w zakresie bezpieczeństwa. W Paryżu, na przykład, od 50 do 60 proc. drobnej przestępczości związane jest z narkomanią lub handlem środkami odurzającymi. Jeżeli chodzi o liczbę nałogowych lub okazyjnych użytkowników narkotyków, czasopismo „Więź", opierając się na wynikach badań, pisze, że jest ich we Francji około 2 milionów, dodając, że 75 tys. osób jest uzależnionych od heroiny oraz około 50 tys. od kokainy.

Natomiast jeżeli chodzi o represje zarówno wobec drobnych pośredników, jak wielkich handlarzy i przemytników międzynarodowych siatek, to w 1988 roku policja francuska aresztowała ogółem 32 213 osób. Szef centralnego biura do zwalczania narkotyków, Bernard Gravet podał, że z tej ogólnej liczby aresztowano: 22 316 narkomanów, 4653 drobnych pośredników w handlu narkotykami, 3355 wielkich handlarzy krajowych oraz 889 handlarzy i przemytników międzynarodowych. Skonfiskowano: 6 ton haszyszu, 221 kg heroiny oraz 592 kg kokainy. Zdaniem szefa biura policja przechwytuje zaledwie 10 proc. z ogólnej masy narkotyków przemycanych do Francji.

Autorzy badań podkreślają, że jedynie prewencja jest nadzieją na skuteczne zwalczanie tej społecznej plagi. Profilaktyka w tej dziedzinie jest także głównym zadaniem francuskiej krajowej federacji walki z narkotykami — oświadczył jej przewodniczący Rene Gally. Federacji pozwolono, na życzenie dyrektorów szkół, rozwinąć wśród uczniów propagandę uświadamiającą szkodliwość zażywania haszyszu i innych narkotyków. W czasie niedawnego spotkania w Marsylii ustalono, że 70 proc. młodych ludzi w wieku 18 lat, zażywających heroinę lub kokainę, zaczęło pięć lat wcześniej od haszyszu.

Na podst. „Le Figaro"
oprac. MARIAN OWCZAREK

O tej zbrodni mówił cały Tarnów. Śmierć ponad siedemdziesięcioletniej kobiety, zabitej na przydworcowych plantach, poruszyła wszystkich, najbardziej wstrząsnęła milicjantami, z których grona wywodził się morderca.

Amok

— W nocy z 2 na 3 listopada ub. roku wraz ze st. kpr. Piotrem Kamieńskim poszliśmy do restauracji „Dworcowa" — st. kpr. Zdzisław Dziedzic przekłada w dłoniach notatnik służbowy. — Zamierzaliśmy coś zjeść w przerwie podczas nocnej służby patrolowej. Parę minut po północy do restauracji wszedł nie znany nam umundurowany milicjant. Jego zachowanie wskazywało, że jest po kilku głębszych.

— Po zjedzeniu kolacji w restauracji dworcowej wyszedłem z przygodnie poznanym mężczyzną na papierosa — mówi Władysław Olesek. — Ten, z którym wyszedłem, opowiedział mi, że przed chwilą widział dziwną scenę: „Jakiś pijany milicjant — opowiadał — podszedł do śpiącej na ławce kobiety i zaczął ją szarpać za rękaw. Najwyraźniej był na bani. Ledwo trzymał się na nogach. Znam tę babinę. Wszyscy nazywają ją „Dziadówa". Gdzie śpi i za co żyje, nikt nie wie". Kiedy on mi to mówił, w drzwiach zobaczyłem milicjanta, który prowadził pod rękę starszą kobietę. W pewnym momencie ją puścił i ruszył przodem. Kilkakrotnie odwracał się i ponaglał ją do szybszego kroku. Po kilkunastu sekundach oboje doszli do przydworcowego parku. Milicjant zszedł po schodach, ale kobieta zatrzymała się. Wtedy tamten ruszył do stojącej, chwycił ją za rękaw i ściągnął na dół.

— Dlaczego, widząc pijanego milicjanta, który prowadził starą kobietę w kierunku parku, żaden z was nie zareagował?

— ...

— Co było dalej?

— Po upływie około minuty z ciemności doleciał nas krzyk kobiety. To nie było żadne wołanie, a krzyk. Potem pisnęła jeszcze kilka razy i wszystko ucichło. W pewnej chwili zobaczyliśmy nadchodzącego milicjanta z komisariatu kolejowego i powiedzieliśmy o wszystkim.

Mówi st. kpr. Józef Sztorc: — Kiedy dowiedziałem się o zdarzeniu, poszedłem we wskazanym przez mężczyzn kierunku. W pobliżu kępy zarośli zobaczyłem leżącą twarzą do ziemi kobietę. Usłyszałem jej ciężki, chrapliwy oddech. Biegiem wróciłem na dworzec i telefonicznie wezwałem pogotowie. Powiadomiłem również o wszystkim dyżurnego RUSW.

— Jak wyglądało miejsce zdarzenia?

— Na ławce i obok ławki były rozrzucone jakieś przedmioty. W pewnym momencie pochyliłem się nad leżącą i poruszyłem ją za ramię. Dostrzegłem wówczas, że całą twarz ma we krwi. Krew była również na ziemi.

Lekarz pogotowia, które przyjechało na miejsce zdarzenia, stwierdził zgon Leokadii C. Po kilku dniach w protokole sekcji zwłok napisano: „Sprawca najpierw denatkę dusił, a następnie uderzał jej głową o ławkę. Na skutek tego doznała ona wielokrotnego złamania kości jarzmowej prawej i lewej, złamania chrząstki tarczowej z podbiegnięciami krwawymi, złamania kości gnykowej, złamania żeber od 6 do 9 po prawej stronie. Obrażenia te spowodowały zgon".

Kim była zamordowana? Jak wynika z analizy sytuacyjnej, której dokonała grupa

dochodzeniowo-śledcza WUSW w Tarnowie, napad nie miał podłoża rabunkowego, mimo że sprawca starał się to upozorować. Przy kobiecie znaleziono czterdzieści tysięcy złotych. Wywiad środowiskowy potwierdził, że Leokadia C. była żebraczką.

Mówi Janusz E. z Sędziszewa: — Dwa lata temu przyszła do nas Leokadia. Powiedziała, że zawalił się jej dom, a jej mąż żyje z inną kobietą i nie ma się gdzie podziać. Tak zamieszkała u nas na stałe. Była to kobieta niechlujna i w dodatku bardzo kłótliwa. Tamtego tragicznego dnia wyjechała do męża, który pracował na stacji. Podobno dawał jej co miesiąc jakieś pieniądze.

Świadkowie, którzy widzieli sprawcę zabójstwa, dostarczyli tyle informacji o jego wyglądzie, iż można było sporządzić portret pamięciowy mordercy. Z analizy sytuacji wynikało, że sprawcą mógł być milicjant, który tamtego dnia albo skończył służbę, albo też był w trakcie jej pełnienia. Stąd sporządzono tablice poglądowe ze zdjęciami wszystkich milicjantów województwa, którzy pełnili lub skończyli wówczas służbę.

Po kilku dniach obywatel (ten, który wyszedł przed dworzec na papierosa) pośród zdjęć rozpoznał sprawcę. Żeby mieć pewność, że chodzi o tego właśnie funkcjonariusza, ustawiono go w szeregu z innymi milicjantami.

Owej tragicznej nocy pijanego przedstawiciela władzy widziały z bliska cztery osoby. Dwie z nich podczas okazania rozpoznały stojącego w szeregu mężczyznę, dwie następne nie zidentyfikowały nikogo.

Po kilku dniach okazało się jednak, że trop był fałszywy. Podejrzany o dokonanie zbrodni milicjant był słuchaczem krakowskiej szkoły podoficerskiej. Noc spędził na łóżku kolegi, z którym, dnia poprzedniego, zamienił się miejscami. Stąd dyżurny kontrolujący nocą pokoje stwierdził, że Sławka nie ma. Kiedy po paru dniach urlopu wrócił z przepustki Mirosław K., sprawa zamiany łóżek została wyjaśniona.

W Tarnowie natychmiast rozeszła się plotka, że milicja stara się zatuszować całą sprawę.

Funkcjonariusze prowadzący pod nadzorem prokuratury śledztwo rozpoczęli pracę od początku. Ponownie sprawdzono 24 godziny z życia każdego funkcjonariusza, który w czasie, gdy zginęła kobieta, mógł być na terenie miasta. Świadków ponownie posadzono za stołami okazując im katalogi zdjęć. Po dziesięciu dniach od chwili ujawnienia zwłok martwej kobiety, podczas jednej z kolejnych konfrontacji, świadek wskazał prawdziwego mordercę, funkcjonariusza RUSW w Dębicy.

Mówi st. kpr. Czesław Mendycki: — Nikt z nas nie mógł uwierzyć, że zrobił to Stanisław B. Tym bardziej ja sam. Razem chodziliśmy do szkoły wieczorowej. Zawsze był spokojny, zrównoważony, koleżeński. To był naprawdę bardzo dobry kolega. Był też niezłym funkcjonariuszem. Nigdy nie otrzymał nagany. Zawsze premiowano go za bardzo dobre wyniki w służbie. A jednak...

*

— Czy w czasie służby podczas dnia pił pan alkohol?

— Nie.

— Co się działo 2 października 1989 roku, kiedy skończył pan pracę?

— Wraz z kilkoma kolegami po zdaniu służby wsiedliśmy do samochodu. Po drodze zajechaliśmy na parking i któryś wyciągnął butelkę wódki. Wypiliśmy ją. Po wypiciu jednej kupiliśmy drugą.

— Ile wówczas wspólnie wypiliście?

— Ze dwie, trzy butelki.

— Mógłby pan opowiedzieć, co działo się na dworcu w Tarnowie?

— W tamtejszej restauracji wypiłem oranżadę. Kiedy wyszedłem na hol, zobaczyłem na ławce śpiącą kobietę i jakiegoś mężczyznę. Obudziłem ich. Kogoś poprosiłem o dowód osobisty.

— Kobietę?

— Tak.

— Czy może pan określić jej wiek?

— To była całkiem starsza osoba... Wyszliśmy przed budynek dworca. Tu powiedziałem „idziemy" a ona na to: „Gdzie mnie będziesz wlókł?". Kiedy weszliśmy do parku kobieta zaczęła coś mówić. Odpowiedziałem jej, żeby się uspokoiła. Ona zaczęła krzyczeć. Uderzyłem ją ręką.

— Czy wtedy się przewróciła?

— Tak. Po uderzeniu zaczęła krzyczeć: „morderca" czy coś takiego.

— Czy ją pan kopał?

— Z tego, co sobie przypominam, to musiałem ją kopnąć w twarz, bo później zobaczyłem krew czy coś takiego.

— Co pan robił po przyjściu do domu?

— Poszedłem spać.

— Kiedy się pan dowiedział o tym, że kobieta, którą pan pobił w parku, zmarła?

— Na drugi dzień.

— Co pana skłoniło, żeby się przyznać?

— Czułem wyrzuty sumienia. Chciałem od razu się przyznać, ale jeszcze wcześniej próbowałem zmienić mieszkanie, by żona i dziecko przeze mnie nie byli wytykani.

Fragment listu napisanego przez podejrzanego o dokonanie zbrodni do żony: „...Nie proszę o wybaczenie, a o wytrwanie. Dziecku tłumacz, że tatuś długo nie wróci. Niech będzie jak ma być".

PAWEŁ SZLACHETKO
zdj. arch.

PS Obecnie podejrzany znajduje się na obserwacji psychiatrycznej. Sprawa zostanie skierowana do sądu po zakończeniu badań.

Kryminalne retro

KANIBAL (2)

Zbrodnicza działalność Denkego wyszła na jaw dopiero po jego samobójstwie, które popełnił w celi aresztu.

W czasie przeszukania przeprowadzonego w zajmowanych i użytkowanych przez niego pomieszczeniach znaleziono obok garnków z peklowanym i ugotowanym mięsem ludzkim narzędzia zbrodni: zaostrzony kilof, dużą piłkę do drewna i trzy noże. W wiklinowym koszu odkryto strzępy odzieży powiązanej rzemykami z ludzkiej skóry. Wśród znalezionych kawałków mięsa można było odróżnić części męskiej piersi, podbrzusza i pośladka. Jak ustalili później biegli były to szczątki trzech mężczyzn i zasolone zostały przed około trzema tygodniami. Stojąca w szopie drewniana beczka zawierała ludzkie kości i zęby. Łącznie znaleziono 480 kości i 420 zębów. Według opinii biegłych kości pochodziły od co najmniej 8 osób, natomiast zęby — od co najmniej 12 (przypuszczalnie jednak od 25 osób).

Z rozwalkowanych zwłok Denke ściągał skórę i przerabiał ją na szelki i rzemyki. Takie właśnie szelki z ludzkiej skóry miał na sobie w chwili zatrzymania go przez policję. Poza tym w tej samej szopie znaleziono kartki z notatnika, w którym Denke skrupulatnie zapisywał różne szczegóły dotyczące swych ofiar. Z notatek tych wynikało, że w okresie od 21 lutego 1903 r. do 17 listopada 1924 roku zamordował on 31 dorosłych i zdolnych do obrony osób, przeważnie mężczyzn. W samym tylko 1917 roku dokonał 5 morderstw: 2 stycznia, 9 marca, 23 kwietnia, 13 sierpnia i 22 grudnia. W większości przypadków Denke zapisywał nie tylko imiona i nazwiska swych ofiar, ale także datę i miejsce urodzenia, a nawet zawód. Na, na sporządzonej przez niego liście zamordowanych, obok daty „21 grudnia 09" figurowało imię „Emma". Była to 25-letnia robotnica Emma Sander.

* * *

Emma Sander zginęła 21 grudnia 1909 r. w drodze do pracy. Dwa dni później, w lasku położonym niedaleko miejscowości, z której pochodziła, znaleziono jej tułów, a po dwu następnych dniach, w innym lasku — głowę i rękę. Obie dolne kończyny zamordowanej znalezione zostały nieco później w pobliżu miejscowego dworca kolejowego.

Wezwani lekarze stwierdzili, że wszystkie odnalezione części zwłok były niemal całkowicie wykrwawione i wykazywały niezwykłą bladość. Sprawca poćwiartował zwłoki w zdumiewająco zręczny sposób. Przyjęto więc hipotezę, że zabójcą Emmy Sander mógł być jakiś rzeźnik. O dokonanie tego czynu początkowo podejrzewano szwagra zamordowanej. Miał on jednak alibi, które nie budziło żadnych wątpliwości. Z kolei odpadło też podejrzenie wysunięte w stosunku do innego szwagra Emmy Sander.

Wkrótce jednak aresztowany został w tej sprawie niejaki Edward Trautmann — rzeźnik. Wiadomo o nim było, iż swego czasu proponował Emmie Sander małżeństwo, na co ona nie wyraziła zgody. Poza tym miał on rzekomo grozić Emmie, że ją zabije. Znany chemik sądowy stwierdził, że włosy znalezione na spodniach i płaszczu Trautmanna należą do Emmy Sander. Włosy te mogły wprawdzie pochodzić i od innej kobiety, ale ewentualność taka — jego zdaniem — była mało prawdopodobna. Orzeczenie wydane przez chemika sądowego poważnie obciążyło Trautmanna.

Niekorzystne dla Trautmanna okazały się również zeznania świadków. Jedna z przesłuchiwanych kobiet oświadczyła, że w dzień po zaginięciu Emmy Sander z domu Trautmanna wydobywał się zapach spalonej skóry i wełny. Przypuszczano więc, że palił on w tym czasie futro baranie (sprawca był bowiem widziany w takim futrze w pobliżu domniemanego miejsca dokonania zbrodni). Inna kobieta zeznała, że podejrzany powiedział jej kiedyś: „Jak ty nie wstąpisz ze mną na ślubny kobierzec, utnę ci głowę". Jeszcze innej kobiecie groził, że jeśli nie wyjdzie za niego za mąż, to zrobi z niej salceson. O tym, że Emma Sander bała się Trautmanna, wiedziała cała miejscowa ludność. Kilkakrotnie bowiem odgrażał się wobec osób trzecich, że gdy spotka Emmę w cztery oczy, zabije ją. Twierdził ponoć: „Ja jestem łajdak, czy zabiję świnię czy co innego, to dla mnie zupełnie obojętne". Ogólnie uważano go za człowieka gwałtownego.

Łańcuch poszlak zacieśniał się coraz bardziej wokół Trautmanna. Niezmiernie obciążające dla niego było również zeznanie pewnego mistrza rzeźnickiego. Podejrzany pracował u niego cztery miesiące jako pomocnik i podczas uboju zwierząt wykazał niezwykłą umiejętność w zadawaniu takich ciosów, które powodowały upust krwi tylko w jednym miejscu.

Oskarżony nie przyznał się do dokonania zabójstwa. Przeciwnie: stale zapewniał, że jest niewinny. W lutym 1911 roku po wielodniowej rozprawie sąd przysięgłych skazał Trautmanna za zabójstwo Emmy Sander na karę 12 lat więzienia. Zwolniono go w roku 1923. Dwa lata po opuszczeniu murów więziennych został uniewinniony.

Na podst.
„Archiv für Kriminologie", T. 95
oprac. J. BIENIEK

Kryptonim „METROPOL" 2

NAJMRODZKI STORY

Jak już doniosłem w poprzednim odcinku, 8 października 1983 roku podjęto w DUSW Warszawa Ochota rozpracowanie pod kryptonimem „Metropol", a to w celu ujawnienia sprawców rozlicznych kradzieży polonezów.

WIESŁAW PIETRYKA

Wprawdzie Mirosławowi Kowalskiemu o wdzięcznej ksywce „Fagas" udało się uciec, to jednakże ppor. Lachowski i jego koledzy mają teraz jakiś punkt zaczepienia. Wiedzą mianowicie, że jednym z współpracowników jest wspomniany wyżej cinkciarz, mają jego notes z adresami i nazwiskami znajomków, dowód rejestracyjny skradzionego poloneza, wiedzą ponadto, iż jeden z członków samochodowego gangu porusza się samochodem z pruszkowską rejestracją. Idą tym ostatnim śladem.

Żałuję niezmiernie, że nie mogę tu opisać wszystkich podejmowanych w sprawie czynności operacyjnych, te by dopiero bowiem uzmysłowiły czytelnikom cały mozół funkcjonariuszy, mogę za to, co niniejszym czynię, poinformować, iż po 2 tygodniach ustalili kolejnego członka gangu, którym okazał się mieszkaniec Pruszkowa, 35-letni Daniel Lisowski, poszukiwany przez sąsiedni urząd dzielnicowy spraw wewnętrznych za... kradzież poloneza. A było to tak.

We wrześniu 1983 r. na parkingu przed knajpą w Wilanowie pewna obywatelka poznaje skradzionego jej poloneza, o czym niezwłocznie powiadamia napotkanego funkcjonariusza. Milicjant przez kierownika sali wywołuje właściciela poloneza numer taki to a taki. O dziwo, zgłasza się właściciel, którym po wylegitymowaniu okazuje się Daniel Lisowski. Wraz z nim na parking wychodzą trzej inni zmotoryzowani panowie, wymieniają między sobą uwagi tudzież uściski dłoni i nie niepokojeni przez funkcjonariusza odjeżdżają w siną dal, a Lisowski udaje się do DUSW. Tutaj okazuje dowód rejestracyjny wspomnianego poloneza wystawiony zresztą według wszelkich obowiązujących reguł na obywatela Daniela Lisowskiego przez Urząd Gminny w Pronnej (woj. radomskie). Tu następuje trzeci błąd w milicyjnej sztuce (drugi to niewylegitymowanie 3 kompanów Lisowskiego i niezapisanie numerów ich pojazdów). Zamiast sprawdzić, czy Lisowski jest bądź kiedykolwiek był rejestrowany przez milicję, młoda i niedoświadczona funkcjonariuszka poprzestaje na obejrzeniu nie budzącego podejrzeń dowodu rejestracyjnego poloneza oraz umowy kupna-sprzedaży, na tej podstawie uznaje, iż Lisowski padł ofiarą oszustwa i po przesłuchaniu w charakterze świadka spokojnie zwalnia go do domciu.

Rzecz jasna, stary worycha do domu już nie wraca i kiedy okazuje się, że w roku 1973 dostali wraz z kolesiem Antonim Wolańskim po 8 lat za kradzież 60 polskich fiatów 125p, szukaj wiatru w polu. Ale to jest kolejny konkretny ślad dla Lachowskiego, który przy tejże okazji ustala, iż w marcu 1983 r. do Urzędu Gminnego w Promnej dokonano włamania, skąd skradziono m. in. 36 blankietów dowodów rejestracyjnych, dowody osobiste, nie wypełnione prawa jazdy oraz odpowiednie pieczątki, wszystkie oryginalne. Nieco wcześniej jeszcze dwaj funkcjonariusze ZOMO spłoszyli w nocy na Ochocie sprawcę włamania do poloneza. Przestępca porzucił wówczas elegancką teczkę, w której znaleziono tablice rejestracyjne, zagraniczne piłki do metalu, latarkę, łom, rękawiczki i kompletną stacyjkę z blokadą i kluczykami.

Na tej podstawie oraz innych informacji tudzież oględzin odzyskanych pojazdów ppor. Lachowski ustala prawdopodobny modus operandi sprawców. Wyjmują oni mianowicie tylną szybę w polonezie, na którą jak dotąd nikt nie zakładał autoalarmu, cicho i bezpiecznie dostają się do wnętrza wozu, wyłączają autoalarm i akumulator, odkręcają stacyjkę z blokadą, montują swoją, zakładają inne tablice rejestracyjne. Choćby odkręcone z sąsiedniego malucha (a kto zgłasza kradzież samych tablic), na miejscu lub po odjechaniu wymontowują zameczek wlewu paliwa i następnie na tej podstawie dorabiają kluczyki do wozu. Reszta to już fraszka. Pozostaje tylko odpowiednio wypełnić dowód rejestracyjny pojazdu i można w niedzielę jechać na giełdę. Kto nie kupi nowego poloneza z oryginalnymi, nie wzbudzającymi najmniejszych podejrzeń, papierami? Żadna, najskrupulatniejsza kontrola niczego nie wykaże. Skradziony w nocy ze środy na czwartek częściej z czwartku na piątek polonez nie został jeszcze wpisany do rejestru skradzionych, a już na pewno ów rejestr, nie dotarł do rąk wszystkich funkcjonariuszy, tym bardziej na giełdę. Dlatego wszyscy kupowali. Ufnie, chętnie, bez podejrzeń i zastrzeżeń.

Powoli, powolutku Lachowski ustala kolejnych członków gangu, m. in. niejakiego „Pepe", czyli Piotra Kniazia, lat 23, mieszkańca Piastowa, nie notowanego i nie karanego. Żaden jednak z członków gangu nie mieszka pod swoim oficjalnym adresem. Ppor. Lachowski wie już o każdym z nich sporo, coraz więcej, orientuje się w ich kontaktach i konszachtach. Ale czeka. Kiedy będzie mógł zgarnąć wszystkich i udowodnić niezbicie, czarno na białym, ich przestępcze wyczyny. A tymczasem zbiera informacje, analizuje, kojarzy. Ma nad swoimi przeciwnikami tę przewagę, że ci niczego się nie spodziewają. M. in. Lachowski ustala punkty usługowe, w których członkowie samochodowego gangu zamawiali nowe tablice rejestracyjne. Nie wniosło to zbyt wiele do sprawy, ale dowodzi, że nasz skromny inspektor nie zaniedbał niczego.

Ustalił ponadto, iż szefem gangu jest młody mężczyzna, zwany Zdzichu, który mieszka gdzieś w okolicach Ursusa lub Piastowa, dysponuje ciężką forsą i jeździ dobrymi, zagranicznymi samochodami. I nic ponad to.

Przenieśmy się na krótko do województwa radomskiego. Otóż w początkach roku 1984 w Białobrzegach nad Pilicą dokonano serii włamań do luksusowych domków letniskowych, chronionych patentowanymi autoalarmami. W 24 przypadkach ani jedno z tych wspaniałych urządzeń nie zawyło jak powinno, a sprawcy wywieźli z domków piękne meble, dywany, lodówki, zamraża[illegible] telewizory itp. Uprzedza[illegible] przecież, domki były luksusowe. Ostatnie dwa obrabiają sprawcy w nocy z 11 na 12 lutego 1984. Gdy już mieli wszystko przygotowane do wywiezienia, a było tego dobra na parotonowy samochód ciężarowy, nakrywa ich załoga miejscowego radiowozu. Sprawcy zdołali wprawdzie prysnąć przez okienko piwniczne, ale funkcjonariusz przez chwilę dojrzał i zapamiętał fizis jednego z nich, a następnie skojarzył z osobą nietrzeźwego kierowcy, wobec którego podejmował interwencję latem 1983. Funkcjonariusz wylegitymował wówczas

pasażerkę i kierowcę oraz pobrał odeń krew do badania. Nawiasem mówiąc ów kierowca został bardzo łagodnie przez sąd potraktowany. Dostał coś tam w zawieszeniu i zapłacił grzywnę, a to dlatego, że już następnego dnia, a raczej nocy, jakimś nie wyjaśnionym sposobem zginęły z laboratorium kryminalistycznego WUSW wszystkie fiolki z krwią. W ten sposób upiekło się nie tylko wymienionemu kierowcy, ale i wielu innym. A ów nie wyjaśniony sposób my, tu zaraz wyjaśnimy. Po prostu i zwyczajnie znajomy nasz kierowca imieniem Józef i nazwiskiem Brzozowski, legitymujący się prawem jazdy oraz dowodem osobistym wydanym przez Urząd Miasta w Piastowie, był sprawcą włamania do laboratorium. No, ale wiemy to dopiero teraz. Proszę przy tej okazji o wybaczenie, że nie będę komentował faktu kradzieży fiolek ani sposobu ich zabezpieczenia.

Teraz to już nic prostszego, jak udać się do Piastowa pod znany adres i zapuszkować za włamania Józefa Brzozowskiego. Ta[illegible]też czyni ppor. Lachowski. Ci[illegible], bo teraz będzie ciekawe, choć jeszcze nie najciekawsze. Oto bowiem Józef Brzozowski istotnie mieszka w Piastowie pod wskazanym adresem, ale jako żywo nigdy nigdzie się nie włamywał i w ogóle nie jest podobny do tamtego Józefa Brzozowskiego, którego zdjęcie sygnalityczne wykonali funkcjonariusze z Białobrzegów. Poznaje za to na okazanej mu fotografii swojego kuzynka Zdzicha Najmrodzkiego. Jak się później okazało, Najmrodzki za jego plecami zgłosił się do tutejszej jednostki jako Brzozowski i złożył zameldowanie o zagubieniu dowodu, co odpowiednim zaświadczeniem, choć zbyt lekkomyślnie i raczej nadto pochopnie, poświadczył przedstawiciel organów. Z tym udał się Najmrodzki po dowód dołączając własną podobiznę. I dlatego sąd skazał go za spowodowanie wypadku po pijanem[illegible]ako Brzozowskiego. Sprytne, co?

Dobrze się stało, że zaczęli od prawdziwego Brzozowskiego, bo pasażerka, którą okazała się Urszula Krawczyk, narzeczona Najmrodzkiego zresztą, znała swojego przyszłego oblubieńca wyłącznie jako Brzozowskiego.

Odtąd ppor. Lachowski ściśle współpracuje z RUSW w Białobrzegach, korzystając z pomocy mjr. Konrada Lipko z Biura Kryminalnego KG MO i kpt. Kazimierza Długoszka z SUSW. Przy czym wszystkie dane o skradzionych wiadomym sposobem polonezach w Warszawie i okolicy grupuje w swoich rękach Lachowski. Także wszystkie informacje o członkach gangu, spływające coraz to żywszym strumieniem. M. in. o trzech włamaniach do mieszkań, w tym o włamaniu w Brwinowie, które przyniosło członkom przestępczej grupy 11 cennych obrazów wartości ponad 2 miliony złotych, odzyskanych następnie po zatrzymaniu sprawców. A byli to znani już nam: Zdzisław Najmrodzki, Daniel Lisowski, Antoni Wolański oraz nie znany nam dotąd Piotr Wiklina, mechanik samochodowy, lat 37.

Lachowski pieczołowicie pilnuje narzeczonej Zdzicha, Urszuli Krawczyk, notabene seksownej bardzo i urodziwej blondynki, bo Zdzichu takie właśnie ponad inne przedkładał. Niewątpliwie uczucie Najmrodzkiego do Urszuli było niekłamane, o czym mogą świadczyć choćby liczne, a drogie prezenta, którymi ją obdarowywał, m. in. willą w Wesołej zapisaną i kupioną na jej panieńskie jeszcze nazwisko za 16 mln złotych. Tymczasem willa stoi nie zamieszkana. Najmrodzkiemu bowiem nie podobały się zwykłe parkiety oraz sosnowa boazeria, więc kazał jedno i drugie zerwać, żeby położyć w zamian jakieś ekstraordynaryjne dęby i hebany. W willi stało już ponadto całe jej wyposażenie, a więc telewizory, zamrażarki, lodówki, dywany i firany, ba, nawet grzejniki, wszystko ukradzione w opisanych wyżej włamaniach.

Podczas kolejnych rozmów Lachowski konsekwentnie Urszulę rozmiękcza, ale nie na tyle, żeby sypnęła miejsce pobytu ukochanego oraz fakt posiadania willi w Wesołej. W rewanżu Lachowski nie informuje panienki o prawdziwym nazwisku Zdzicha i udaje, że nie ma pojęcia o ich przyszłym gniazdku. Do czasu. Urszula poznaje na przedstawionych jej operacyjnych fotosach dwóch kolegów narzeczonego. Oficerowi chodzi mianowicie o to, aby dziewczyna doniosła, gdzie trzeba, że milicja kojarzy tych panów ze sobą w jedną gustowną całość, do tej pory bowiem członkowie gangu dysponując mocnymi dokumentami nie bali się zbytnio milicji, a jeżeli byli kiedykolwiek zatrzymywani, to wyłącznie pojedynczo, po czym zawsze gładko z tego wychodzili. Bądź nawiewali.

Jednocześnie Lachowski operacyjnie ustala Mirosława Kowalskiego, czyli „Fagasa", który tak sprytnie prysnął funkcjonariuszom. Okazało się, że punkt kontaktowy całej grupy mieścił się w mieszkaniu przy ulicy Okopowej 42. W ogóle to wynajmował „Fagas" trzy mieszkania jednocześnie, w tym dwa z telefonami.

20 lutego 1984 r. trwająca całą dobę zasadzka przynosi ledwie połowiczny rezultat. Przed wspomnianym domem funkcjonariusze zatrzymują Piotra Kniazia. Kiedy Lachowski w parę godzin później spróbował zajrzeć tam jeszcze raz, nie zastał żadnego z ptaszków. Drzwi wiodące na klatkę schodową uprzejmie mu podtrzymał młody, przystojny mężczyzna. Tak, to był sam Najmrodzki, który wiedział, jak Lachowski wygląda, sam zaś nie został przez oficera poznany, bo właśnie parę dni temu zgolił brodę. To tylko jeden drobny przykład zimnej krwi i przytomności umysłu szefa samochodowego gangu. Obiecuję, że będą następne.

Zatrzymany Piotr Kniaź, acz zaskoczony, nie puszcza pary z gęby. — Wolę kiblować parę lat, niż dostać kosą w bok — mówi krótko. Lachowski widzi, że sprawę przegrywa. Przynajmniej na razie. I wtedy wpada na szatański, choć ryzykowny pomysł. Po niespełna kilku godzinach wypuszcza Kniazia na wolność.

Na szczęście funkcjonariusz trafnie przewidział sposób rozumowania członków gangu: skoro Kniaź wyszedł po paru godzinach, nie zaliczywszy nawet regulaminowych czterdziestu ośmiu godzin, to znaczy pękł i poszedł na współpracę. Odsuwają więc Kniazia na bocznicę i unikają jako konfidenta organów. Ten z kolei w poczuciu absolutnej bezwiny chodzi od jednego kolesia do drugiego, żeby wszystko wytłumaczyć. I kolejno choć nieświadomie naprowadza funkcjonariuszy na miejsca pobytu swych kumpli.

cdn.

Szakale

ciąg dalszy ze s.5

kodeksu naruszy. Jest to niepokojące zjawisko ostatnich lat. Kiedyś włamywacz idąc na robotę odstępował od niej, gdy w mieszkaniu był lokator. Nie ryzykował o wiele cięższego przestępstwa, jakim jest rozbój. Dziś przypadek decyduje, czy lump idący na włamanie zostanie włamywaczem, bandytą czy zabójcą. Przestępcy są o wiele brutalniejsi i prymitywniejsi, pozbawieni skrupułów, bez jakichkolwiek, nawet przestępczych, zasad.

Przed dokonaniem przestępstwa robią dokładne rozpoznanie. Jeśli obiektem ma być mieszkanie osoby starszej, to jej obecność jest istotną częścią planu akcji. Przestępcy nie muszą się wtedy trudzić wchodzeniem przez okna, wyważaniem drzwi itp. Najczęściej wchodzą do mieszkania, wpuszczeni przez przyszłą ofiarę. Stary podstęp, przed którym wciąż ostrzega milicja, to podawanie się za inkasenta, hydraulika, listonosza, kolegę męża z pracy itp. W ten sposób w biały dzień, w bloku pełnym ludzi stary człowiek zostaje zdany na łaskę pozbawionych skrupułów przestępców, którzy, chociaż nie idą z zamiarem, żeby zabić, potencjalnie są bardzo niebezpieczni. Ofiara jest im potrzebna do jednego celu — ma wskazać, gdzie ukrywa dolary, inne pieniądze, złoto. Gdy jest uparta, potrafią wydobyć tajemnicę stosując najwyszukańsze tortury: przypalanie żelazkiem, podpalanie, duszenie, łamanie palców... Nie wszystkim udaje się przeżyć, dla niektórych kończy się to tragicznie. 65-letniego mężczyznę na Pradze Płn. bandyci pozostawili związanego na podłodze. Gdy go znaleziono — nie żył, zadławił się sztuczną szczęką.

Specyficzną grupą ofiar napadów są tzw. babcie handlujące wódką. Sprawcy rekrutują się na ogół spośród ich stałej klienteli.

— Wśród tego typu — mówi por. Andrzej Prokopczyk z wydziału kryminalnego SUSW — istnieje duża ciemna liczba przestępstw. Do nas trafiają na ogół informacje tylko o tych, których ofiara doznała ciężkich obrażeń i pomocy udzielało pogotowie. Gdy „babcia" wyjdzie z napadu bez szwanku, a tylko zrabowano jej towar, nie melduje o tym milicji z wiadomych względów. A przecież wcale nie jest przez to bezpieczniejsza, wręcz przeciwnie...

Napady mieszkaniowe pod względem wykrywczym należą do najtrudniejszych spraw. O ile w całej kategorii rozbojów, do której się zaliczają, wykrywalność wynosi około 50 proc., to w samych napadach mieszkaniowych zaledwie około 30 proc.

Typowanie sprawców jest tym trudniejsze, że za „mieszkaniówki" biorą się przestępcy z różnych „branż". Wprawdzie Biuro Kryminalne KG MO zobowiązało wydziały kryminalne jednostek wojewódzkich w całym kraju do typowania i centralnego rejestrowania osób ze świata przestępczego, które mogą być potencjalnymi sprawcami napadów mieszkaniowych i figurują one w kartotece o kryptonimie „Szakal", to jednak „przysłużyła" się ona ostatnio w niewielu tylko sprawach. Wszystkie wynikające kiedyś z obserwacji świata przestępczego schematy, reguły, prawidłowości biorą w łeb. Kończy się też przestępcza specjalizacja, najczęściej decyduje przypadek.

W sytuacji rosnącego zagrożenia najważniejszą sprawą jest właściwe zabezpieczenie się ludzi starych, by nie dopuścić do przestępstwa. Od kilkunastu lat milicyjne jednostki w całym kraju prowadzą przez dzielnicowych rozpoznanie osób starych, samotnych, szczególnie narażonych na włamanie i napad. To rozpoznanie i kontakt były całkiem niezłe przed laty, kiedy dzielnicowy rzeczywiście opiekował się swoim rejonem, miał czas na odwiedzanie starych ludzi, rozmowy, przestrzeganie, przekonywanie do stosowania różnych środków ostrożności. Dziś, gdy dzielnicowy obsługuje 3—4 rejony, bo wakaty dochodzą do 70 proc., ma czas zaledwie na rejestrowanie zdarzeń, które już się stały, a nie na zapobieganie przyszłym.

— Mimo to apel do dzielnicowych — powiedział płk Zbigniew Ślęzak z Biura Kryminalnego KG MO — by w ogromnym nawale zajęć znaleźli choć odrobinę czasu na okazanie zainteresowania i pomocy ludziom starym i samotnym — jest dzisiaj szczególnie potrzebny. Wystarczy odwiedzić ich raz na parę miesięcy i przypominać, przypominać, nieustannie przypominać o zachowaniu ostrożności. O tym, że w drzwiach powinien być wizjer i łańcuch, że gdy pukający do drzwi obcy mężczyzna przedstawia się jako hydraulik, nie wolno mu otwierać, aż przyjdzie z dozorcą lub znajomym sąsiadem. Także o tym, że pieniądze i dolary najbezpieczniej jednak trzymać w banku, a złotą biżuterię dobrze mieć, na wszelki wypadek, sfotografowaną, co jest w naszym kraju zupełnie nieznane, a przecież jakże w razie czego przydatne.

Wielu ludzi starych jest samotnych, ale większość ma jakąś rodzinę, sąsiadów, opiekuna społecznego. Wszyscy oni powinni pomóc staremu człowiekowi w zapewnieniu bezpieczeństwa, nauczyć stosowania środków ostrożności, sprawdzać, kontrolować. Wtedy nie dojdzie do nieszczęścia, po którym wszyscy po trosze będą mieli wyrzuty sumienia. Stary człowiek musi być bezpieczny. Szakale atakują tylko bezbronnych i nieostrożnych.

ELŻBIETA SITEK

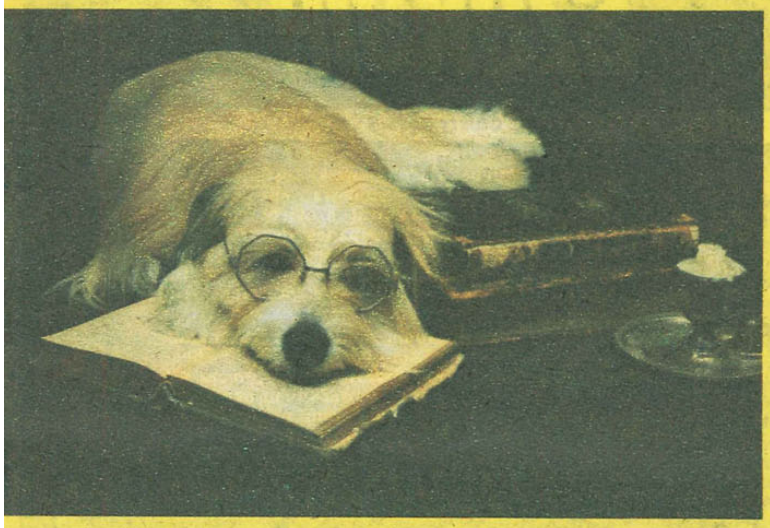

MÓJ PIES

CZEGO PSU NIE WOLNO?

Nasze artykuły na ogół czytają ci, którzy psy mają, chcą mieć lub po prostu psy lubią.

Zanim więc zapadnie decyzja o kupnie psa, radzę przemyśleć tę decyzję. Oto kilka argumentów.

Marian Szymankiewicz w swojej książce, którą polecam, „Zasady chowu i hodowli psów rasowych" proponuje nabycie psa przede wszystkim osobom kochającym zwierzęta i pragnącym ich wzajemnego przywiązania. Oczywiście, że można takiego psa używać jako psa - obrońcy, stróża dobytku, towarzysza dla dzieci (opieka nad psem uczy je obowiązkowości i odpowiedzialności), pies może być też lekarstwem dla osób, którym lekarz zalecił ruch na świeżym powietrzu. Ale zrezygnować z nabycia psa powinny te osoby, które uważają psa za przedmiot pozbawiony uczuć, nie dysponujące minimum cierpliwości, opanowania i konsekwencji, mające bardzo małe mieszkania, w których nie ma miejsca dla psa lub które nie mogą zapewnić codziennego swobodnego, dłuższego spaceru. Niestety, nieżyczliwi i złośliwi sąsiedzi to również argument przeciwko psu. Pamiętajmy też, że zakup psa to tylko początek związanych z jego utrzymaniem wydatków.

Jakiego natomiast psa wybrać? Znany rysownik, karykaturzysta Szymon Kobyliński, wielki miłośnik psów, twierdzi, że rasa psa ważna jest tylko przy jego kupowaniu, potem wszystkie psy są jednakowo kochane.

● Jeśli już psa kupimy, obserwujemy go i spośród znanych nam metod postępowania wybieramy te najbardziej dla niego odpowiednie.

● Pamiętajmy, że nie osiągniemy rezultatów błyskawicznie, ale postępując cierpliwie i wytrwale znacznie je przyspieszymy.

● Nagradzajmy lub karćmy psa w trakcie wykonywania czynności lub bezpośrednio po jej wykonaniu, gdyż pies bardzo szybko skojarzy wykonaną czynność z karą lub nagrodą.

Oto przykłady.

Szczenię lub nawet dorosły pies wprowadzony do naszego domu odczuwać będzie nasilenie swoich potrzeb fizjologicznych po zjedzeniu posiłku lub dłuższej drzemce np. koniecznie rano. Uważna obserwacja zwierzęcia doprowadzi do tego, że pies będzie załatwiał potrzeby na zewnątrz domu. Wyprowadzamy psa na smyczy (szczeniaka wynosimy) i chwalimy go niezwłocznie po załatwieniu tych potrzeb. Każdą próbę załatwiania ich w domu natychmiast karcimy, mówiąc ostrym głosem „fe".

Niestety, wymaga to przynajmniej kilku dni i nocy, ale opłaci się. Pies przyzwyczajony do porządku potrafi wstrzymywać się z załatwianiem swoich potrzeb do kilkunastu godzin, dostosowując się do możliwości stwarzanych przez opiekuna.

Kilka uwag. Jeżeli już dojdzie do awarii, starajmy się jak najdokładniej usunąć jej skutki, łącznie z zapachem, który szczególnie nęci psa do powtórzenia tego typu czynności.

Pies najchętniej do załatwienia swoich potrzeb wyszukuje miejsca miękkie, więc w domu idealne są gąbczaste wykładziny i dywany. Należy je więc na ten okres zabezpieczyć, najlepiej uniemożliwić psu „korzystanie" z tych miejsc.

Nie można bić psa! On nie rozumie, że zachował się niewłaściwie i będzie przerażony zachowaniem opiekuna. Próżna to satysfakcja, gdy właściciel mówi, że jego pies wie, że zrobił źle, bo się boi i ucieka przed panem.

JAN WALICKI
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski i arch.

Słowniczek kryminalistyczny

ODOROLOGIA

Nauka o zapachach jest w kryminalistyce wykorzystywana do identyfikacji osób, rzeczy i innych obiektów np. substancji gazowych. Używa się do tego specjalnie wytresowanych psów tropiących (śledczych). Pies bowiem odczuwa większą gamę zapachów niż człowiek i może rozróżnić tysiące zapachów niedostępnych człowiekowi. Nos psa jest tak zbudowany, że powietrze ma swobodniejszy dostęp do zakończenia nerwów czuciowych, a mózg jest bardziej dostosowany do rejestrowania, zapamiętania i wykorzystania „informacji zapachowej". Jeszcze nie tak dawno zapach wykorzystywany był w kryminalistyce jedynie przez bezpośrednie podjęcie go przez psa ze śladów lub innych dowodów rzeczowych. Taka forma wykorzystania zapachu okazała się niedostatecznie efektywna, ponieważ zapach na przedmiotach zachowuje się, zależnie od różnych uwarunkowań, tylko przez określony czas i od momentu podjęcia go przez psa do momentu zidentyfikowania osoby, od której [illegible]chodzi, nie może być przerwany. [illegible] tym różne przeszkody nierzadko naruszają tę ciągłość. W związku z tym powstał problem znalezienia odpowiedniego sposobu zabezpieczenia i dłuższego przechowywania zapachu, występującego zarówno w miejscu popełnienia przestępstwa, jak i na trasie, którą doszedł do tego miejsca bądź zbiegł zeń sprawca przestępstwa. Dla rozwiązania tego problemu w niektórych organach ścigania karnego utworzone zostały banki zapachów, w których pobrane za pomocą specjalnych urządzeń próbki zapachów zawarte są w odpowiednio do tego celu dostosowanych pojemnikach, gdzie mogą one być przechowywane przez dłuższy czas. W banku takim gromadzi się również próbki zapachów pobranych m.in. od przestępców, zwłaszcza recydywistów, przebywających na wolności (zwolnionych ostatecznie lub warunkowo z więzienia) oraz próbki zapachów utrwalonych w miejscach przestępstw. Pozwala to więc nie tylko na porównanie zapachu konkretnej osoby z [illegible]pachem pobranym z miejsca przestępstwa, ale także na porównanie próbek zapachów z poszczególnych miejsc przestępstw w celu sprawdzenia, czy dotyczą jednego przestępcy. Wykorzystanie odorologii w kryminalistycznej praktyce w dużym stopniu przyczynia się do wykrycia osób, które popełniły przestępstwo. Świadczą o tym liczne przykłady odnotowane w literaturze przedmiotu.

oprac. J. BIENIEK

Paradoksy

NIENAWIŚĆ I PATOLOGIA

I

„Górnicy zawsze u nas mieli dobrze, ale ostatnio porobiło się tak, że milicjant łazi na wierzchu i zarabia przeszło dwa razy tyle co górnik pod ziemią. Pan by nie strajkował? — uświadamia Azerbejdżanina polski dziennikarz jegomość X., w tekście pt. „Między prawdą a nienawiścią" (tygodnik „Relacje" nr 44). Okłamał cudzoziemca świadomie, czy z niewiedzy?

II

Postrachem miasteczka X jest jejmość Y, matrona z piekła rodem. Najpierw wykończyła własnego męża, potem zniszczyła małżeństwo córki, która jest już kłębkiem nerwów, sterowanym przez mamuśkę w złych kierunkach. A teraz wyżywa się w bezpardonowym obrzucaniu błotem tych wszystkich (z urzędami włącznie), którzy nie wierzą jej na słowo w wojnie z zięciem i są na tyle „bezczelni", by szukać tzw. prawdy obiektywnej. Dziwna to wojna. Polega na tym, że zięć liczy kolejne obrażenia i stale się wycofuje, nawet nie próbuje się odgryzać, a instytucje powołane do brania go w obronę, też — dla świętego spokoju — starają się nie denerwować agresorki, by jej nie rozjuszyć jeszcze bardziej. A jejmości Y tylko w to graj! Rozzuchwalona bezkarnością gryzmoli kolejne skargi i prze do przodu, rażąc kloaką ordynarnych słów i czynów jak miotaczem biblijnego ognia.

O co poszło? O to, że zięć jest milicjantem i grafik jego służb nie jest przedstawiany do zatwierdzenia przez żonę i teściową. Kością niezgody stały się służby nocne. Kiedy miarka napaści słownych i fizycznych się przebrała, on z plikiem lekarskich zaświadczeń o obdukcji wyprowadził się, zostawiając żonie i dwojce dzieci ładne mieszkanie (teściowa mieszka niby na wsi, ale wszędzie jej pełno). Zabrał tylko mundury i zamieszkał u rodziców. Dopadły go i tam. On chce rozwodu, ona alimentów. Sprawy sądowe jednak ślimaczą się, gdyż mama z córką zachowują się — delikatnie mówiąc — zbyt agresywnie...

Cierpliwość urzędów też w końcu się wyczerpała. Prokurator oskarżył córkę o obrazę sądu, a matkę skierował na badania psychiatryczne. Poniewierany milicjant zaczął wysyłać alimenty z własnej inicjatywy, zanim zapadła w tej sprawie jakakolwiek decyzja sądu, ale przekazy wracały z adnotacją „Adresatka odmówiła przyjęcia". Wpłaca więc te kwoty dzieciom na książeczki PKO. Wyprowadził się przed rokiem, ale nadal opłaca czynsz mieszkaniowy, nawet reguluje należności za drobne naprawy. Z dziećmi próbuje widywać się ukradkiem i bardzo cierpi, nie mogąc pojąć źródła tej gehenny...

Co się z czego rodzi — nienawiść z patologii, czy patologia z nienawiści?

HE-MAK

SPORT

DRUŻYNA Z CHARAKTEREM

Koszykarki krakowskiej Wisły od wielu lat należą do ścisłej krajowej czołówki, o czym najlepiej świadczy 17 tytułów mistrzyń Polski. Oddzielny, nie mniej bogaty rozdział, stanowi ich udział w drużynie narodowej. Nic więc dziwnego, iż o drużynie Wisły mówi się niezmiennie, że jest to zespół z charakterem, a mecze z udziałem gwardzistek przyciągają widzów. Jest tak i dziś, choć, jak łatwo zauważyć, drużyna znajduje się w trakcie gruntownej przebudowy.

— Praktyka wskazuje, iż zazwyczaj po okresie świetności, zdobyciu mistrzostwa, co miało miejsce w 1988 r. następuje odprężenie, a tym samym obniżenie poziomu gry — stwierdził trener Zdzisław Kassyk (na zdjęciu), który od pięciu sezonów opiekuje się Wisłą. — U nas radość połączona była z odejściem sześciu zawodniczek. I tak Grażyna Seweryn wyjechała do Francji, Ela Cała i Izabela Maj zasiliły ŁKS Łódź, Małgorzata Perucka wróciła do Stalowej Woli, kontuzji doznała Marta Starowicz, Anna Jelonek przebywała na urlopie macierzyńskim. Trzeba więc było niemal z marszu kompletować nową „piątkę".

I udało się. Obecnie, już w zmienionym składzie myślą o nawiązaniu do dawnych medalowych tradycji. Świadczą o tym dotychczasowa postawa na boisku, gra kombinacyjna oparta na bardzo dobrym przygotowaniu fizycznym, szybkim ataku i właściwa organizacja gry w obronie.

— Krótki rzut oka na składy drużyn wystarcza, by zorientować się, że jesteśmy jednym z najniższych zespołów w lidze — dodaje trener. — Najwyższa nasza zawodniczka Maria Boczkowska (184 cm) wyraźnie ustępuje wzrostem wielkoludom z innych zespołów. Stąd też przewagę wzrostu staramy się zniwelować częstą zmianą pozycji, agresywnym kryciem na całym boisku, wybieganiem. Dziewczęta są szybsze od rywalek, skoczniejsze, inaczej nie radziłyby sobie pod koszem czy w polu. Moje zadanie jako szkoleniowca oraz współpracujących ze mną Tadeusza Sułkowskiego, Jacka Czepczyka czy Jana Marchewczyka, który prowadzi zajęcia sprawnościowe, polega na wytrenowaniu zawodniczek, przekazaniu wiedzy o grze oraz ukazaniu możliwości wygranej. Reszta należy do nich samych. Chcą wygrywać, muszą zapracować na to na treningach. W czasie meczu szybko można poznać słabości przeciwnika, a mecze wygrywa się nie gdzie indziej a na boisku.

Prosta, przejrzysta taktyka gry Wisły sprawia, iż wynik meczu jest sprawą otwartą, podobnie było w spotkaniu z niżej notowanymi koszykarkami warszawskiej Polonii, zespołem, który utrzymał się w lidze w wyniku barażów. Mając — teoretycznie — słabszego przeciwnika zagrały z mniejszym zębem, jakby na luzie. A to się lubi mścić, przegrały różnicą 18 pkt. Najbliższy ich rywal Start Lublin wysoko pokonał beniaminka ROW Rybnik, który następnego dnia wygrał z Polonią Warszawa. Lublinianki natomiast nie dały rady Wiśle. Czyż kobieta zmienną nie jest?

— W organizacji treningów, doborze taktyki na poszczególny mecz sam nos trenera już nie wystarcza — mówi Z. Kassyk. — W prowadzeniu zespołu żeńskiego potrzebna jest nie tylko intuicja, takt, wrażliwość, ale przede wszystkim wiedza o właściwościach organizmu i psychice kobiety. Zarówno technika, jak i taktyka muszą być doprowadzone do doskonałości, gdyż kobiety w odróżnieniu od mężczyzn nie mogą nadrobić braku precyzji, cechami atletycznymi. Ponadto kobiety słuchają trenera ze względów emocjonalnych. Mam także tę możliwość, iż w krytycznych sytuacjach mogę odwołać się i skorzystać z doświadczeń znakomitego szkoleniowca Ludwika Miętty, z którego osobą związane są najlepsze lata polskiej koszykówki.

Nie sposób nie zauważyć, iż zawodniczki udanie łączą sport wyczynowy z nauką i życiem rodzinnym. Ilona Mądra studiuje na AWF podobnie jak Małgorzata Kardas i Joanna Wiesław. Absolwentkami tej uczelni są: Marta Starowicz, Tamara Czelakowska i Lucyna Pozorska. Aldona Patycka ukończyła WSP. Tak więc gra w koszykówkę wywarła duży wpływ na dalsze losy dziewcząt. Małgorzata Wiązowska jest inspektorem sekcji, Haliny Kaluta i Iwaniec poświęciły się pracy szkoleniowej w klubie.

Liczą się też zdolności trenerskie, operatywność działaczy. Zdzisław Kassyk stale śledzi postęp koszykówki europejskiej i światowej, dzięki finansowemu wsparciu Gwardyjskiego Pionu Sportowego MSW obserwował mistrzostwa w Warnie. Sprawdzony system naboru i dalszego szkolenia dziewcząt rozmiłowanych w koszykówce sprawia, iż o juniorkach, kadetkach Wisły mówi się w samych superlatywach.

Działacze sekcji i klubu zjednali przedstawicieli wielu środowisk. Coraz więcej uznanych firm reklamuje swoje wyroby w hali Wisły, np. Omega podarowała tablicę elektronicznego pomiaru czasu, IPM Italia pomagała w zorganizowaniu wyjazdu do Włoch, w wyniku transferu Grażyny Seweryn uzyskano stroje sportowe. Przychylnym okiem na problemy sekcji spoglądają wiceprezes Wisły, wicepremier prof. Jan Janowski oraz dyrektor Oddziału Krakowskiego Pewex Augustyn Pohl.

Koszykarki Wisły swoim sympatykom odpłacają się sportową postawą ale także urodą i wdziękiem. W erze, kiedy do głosu i to nie tylko na parkiecie, dochodzą baby-chłopy, ma to niebagatelne znaczenie.

JERZY KIRZYŃSKI
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

UWAGA! NASZ KONKURS „KIBIC DOSKONAŁY"

Dobiegła końca kolejna edycja naszego konkursu „Kibic doskonały '89", którego zwycięzcą został Roman Majewski (zdobywca 64 pkt.). Przypomnijmy, iż R. Majewski przed dwoma laty również okazał się najlepszym znawcą sportu gwardyjskiego. Gratulujemy. Wyprzedził on Romana i Elżbietę Strzałkowskich (63 pkt.), Janusza Grochowskiego (57,5 pkt.), Rafała Ciska (51 pkt.), Adama Łukaszewicza (50,5 pkt.), Henryka Domagałę (50 pkt.) i innych. Nagrody pieniężne ufundowane przez GPS MSW wysłaliśmy pocztą. Nagroda za trafne odpowiedzi na pytania postawione w numerze specjalnym 11/89 przypadła Mieczysławowi Wrzosowi z Lublina.

A oto następne pytania:

1. Co łączy w sportowym życiorysie: Henryka Reymana, Waleriana Kisielińskiego, Artura Woźniaka, Józefa Kohuta, Zdzisława Kapkę i Kazimierza Kmiecika?

2. Który z piłkarzy Wisły strzelił w meczu 4 bramki w tym jedną grając w skarpetkach?

3. Wymień nazwiska czołowych koszykarek Wisły.

Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania (w ciągu 14 dni pod adresem redakcji) z dopiskiem „Kibic Doskonały", rozlosujemy nagrodę ufundowaną przez prezesa GTS Wisła Kraków gen. bryg. Jerzego Grubę. Równocześnie odpowiedzi wliczone zostaną do punktacji rozpoczynającego się konkursu „Kibic doskonały '90".

magazyn 997 kryminalny

WSŁUŻBIE NARODU

PISMO RESORTU SPRAW WEWNĘTRZNYCH – UKAZUJE SIĘ OD 14 IV 1945 ROKU Wydawca MSW.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: **ELŻBIETA CIERLICA** (zastępca red. naczelnego, 45-61-72 lub 20-16-39), **Ryszard Hrycyk** (red. graficzny), **JERZY KIRZYŃSKI** (kierownik dz. zawodowego, 45-61-15), **ROMUALD ŁABANOW** (redaktor naczelny, 20-54-18 lub z MSW 149-70), **Henryk Makarski** (oddział red. w Lublinie, 201-01 w. 4605), **Tadeusz Noszczyński, Edward Nowak, Adam K. Podgórski** (oddział red. w Katowicach, 510-221 w. 1965), **Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Paweł Szlachetko, Jolanta Szutkowska, Jolanta Ślifierz, MARCEL TABOR** (sekretarz redakcji, 45-61-32, 20-16-39), **Cezary Woliński, Krzysztof Zaczkiewicz** (red. techniczny)

FOTOREPORTER: **Krzysztof Mokrzyszewski**

ADIUSTATOR: **Agata Guzdek-Wrotna**

ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: **Maria Pawlak, Teresa Tomaszewska**, 45-68-66

ADRES REDAKCJI: 00-896 Warszawa, ul. Ogrodowa 28/30. Telefon sekretariatu 45-61-26, kasa 45-60-86. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów nadesłanych artykułów.

PRENUMERATA: Prenumerata wyłącznie za pośrednictwem CKW dla jednostek resortu spraw wewnętrznych i instytucji.

Wpłata na prenumeratę na I kwartał – do 25 listopada, na II kwartał – do 25 lutego, na III kwartał – do 25 maja, na IV kwartał – do 25 sierpnia. Wpłaty zgodnie z rejonizacją u kolporterów. Zamówienia i reklamacje w sprawie kolportażu kierować do RSW „Prasa–Książka–Ruch" Centralny Kolportaż Wojskowy 00-950 Warszawa, ul. Wronia 29/31, tel. 20-12-61 w. 338. Warunki prenumeraty za II kwartał będą podane później.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

numer zamknięto 10.I.1990
Zam. 1305
F-67.
REDAKTOR DYŻURNY
Elżbieta Sitek

panorama

997

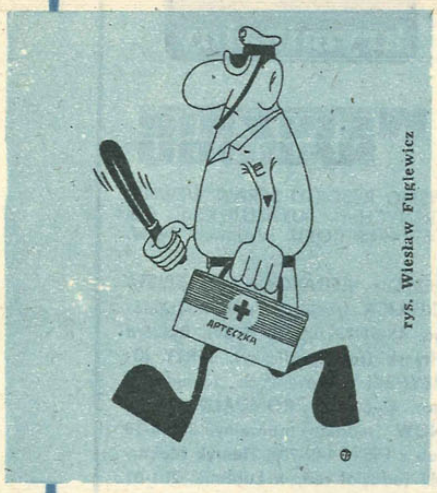

rys. Wiesław Fuglewicz

MYŚLI

Skromność przy miernych zdolnościach jest zwykłą uczciwością, u wielkich talentów jest ona obłudą.
A. Schopenhauer

Istnieje bohaterstwo egoizmu i nazywa się: samowystarczalność.
H. Elzenberg

Świat trwa w wiecznym niepokoju i... dzięki temu istnieje.
W. Rozanow

Można wyczerpać studnię, ale nie rzekę.
K. Bunsch

Tak zachowuj się na pierwszej randce, by nie sposób ci było odmówić następnej.
Molier

ANEGDOTA

W szkole średniej przyszły wielki uczony Pasteur stale zadawał pytania nauczycielowi chemii Darlayowi, a ten nie zawsze umiał na nie odpowiedzieć. W końcu Darlay rozgniewał się i powiedział ostro:
— Dość tego. To ja ciebie powinienem pytać, a nie ty mnie i w dodatku przed całą klasą!

ZAPAMIĘTAJ:
Żaden światopogląd nie powiększył dotąd czyichkolwiek zdolności. Z braku zdolności jednak powstawały już nieraz całe światopoglądy.

KRZYŻÓWKA NR 3

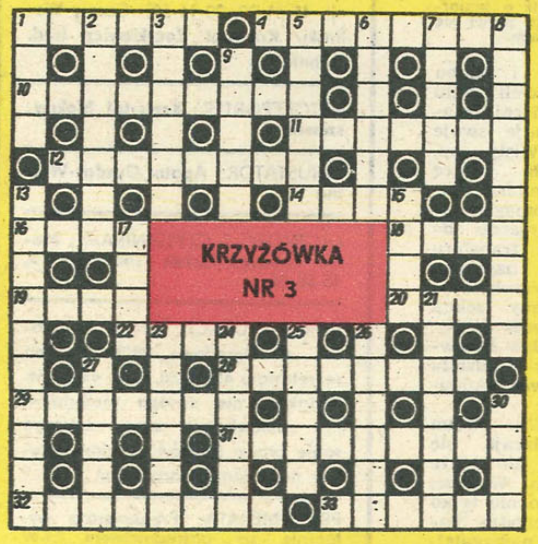

POZIOMO: 1) mieszkaniec Zakaukazia, 4) zaraza, 10) profesor uniwersytetu, 11) używka, 12) na pagonie, 14) słowa przysięgi 16) poziome drzewce omasztowania, 18) tuzin tuzinów, 19) kończyna, 20) urzędowy strój adwokata, 22) wyścig terenowy, 28) rozwiązłość, 29) konieczna przy operacji, 31) balwierz, 32) dowód, racja, 33) turecka metropolia.

PIONOWO: 1) rozpoczyna walkę bokserską, 2) z Montevideo, 3) wynik dzielenia, 5) czeka na zwycięzcę, 6) akt prawny, 7) zabieg leczniczy lub kosmetyczny, 8) z Kabulem, 9) Cu. 13) największa wyspa, 15) kamień ozdobny, 17) miasto w Mauretanii, 21) ułatwia jeźdźcom prowadzenie konia, 23) list tchórza, 24) patka z tyłu płaszcza, 25) tablica, wywieszka z napisem, 26) na głowie muzułmanina, 27) Chopin Północy, 30) do, re, mi.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 3". Do rozlosowania: 5 bonów oszczędnościowych każdy wartości

5000 ZŁOTYCH

Rozwiązanie krzyżówki nr 44

POZIOMO: zaraza, szczegół, rówieśnik, owijacz, szwindel, elki, Kurp, kloc, puls, amok, owal, apelacja, iluzjon, czereśnia, Traviata, zarzut. PIONOWO: zero, Rewizor, ziemia, zakole, Zodiak, Góral, łuczniczka, anoda, ikra, ekspedient, peso, majonez, Wojski, lancet, zecer, zaleta, Burza, żart.

Bony oszczędnościowe po 2000 złotych wylosowali:
1) **Józef Śliwa** — 44-114 Gliwice, ul. Krucza 11/16, os. Sikornik,
2) **Maria Wołkowicz** — 02-777 Warszawa, ul. Kulczyńskiego 7 m. 82,
3) **Stanisław Machowski** — 59-800 Lubań Śląski, (ul. Wojska Pol. 7/13,
4) **Lech Klepinowski** — 72-112 Stepnica, ul. Mokra 3,
5) **Zenon Ulatowski** — 71-073 Szczecin, ul. Ku Słońcu 2/5.

W XXI WIEKU

Amerykański tygodnik „Life" zaprosił na swoje łamy przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych, publikując ich prognozy na przyszłość. Oto niektóre z nich:

Dzięki postępom medycyny i profilaktyce w roku 2000 65-latek będzie miał kondycję dzisiejszego 45-latka. Do roku 2030 średnia życia wydłuży się do 85 lat, w 2050 nasi potomkowie żyć będą przeciętnie 100 lat! W następnym stuleciu zanikać będzie zawód dentysty, gdyż powszechne fluorowanie wody zapobiegnie próchnicy. Nie będzie też łysych — znalezione zostaną metody, stymulujące porost włosów! Ale, przewidują uczeni, aż do końca XXI wieku nie znajdziemy lekarstwa na AIDS.

W XXI wieku pojawi się na świecie znacznie więcej wynalazków niż w naszym stuleciu. Tak np. wspaniały rozwój mikroelektroniki umożliwi skonstruowanie bionicznego sztucznego serca, idealnie zastępującego prawdziwe. A już w 2050 roku każdy będzie mógł kupić sobie bilet na Marsa!

W SĄDZIE

— Czy ktoś oskarżonemu pomagał przy kradzieży? — pyta sędzia.

— Nie, proszę wysokiego sądu, teraz tak trudno o uczciwego wspólnika...

FRASZKI

O SPECJALISTACH

Niezależnie od systemów,
związków, rządów różnej próby —
zawsze mamy specjalistów,
tych, od przykręcania śruby.

CO MNIE MARTWI?

Gdy przyglądam się „przełomom"
różnym, licznym polskim błędom,
Mniej mnie martwią te, co były —
Bardziej te, co będą.

POCIECHA

Nie bójmy się przyszłości!
Nie jesteśmy sami —
Cały świat nam pomaga
D e k l a r a c j a m i.

Krystyna Sylwestrzak

OBRAZKI Z PAŁACU MOSTOWSKICH (SUSW WARSZAWA)

Obrazek 2

Gdy po wejściu na piętro skręcisz w prawą stronę
Pierwsze drzwi będą zamkiem solidnym wzmocnione
Spróbujmy zajrzeć za nie; lustra tu, półeczki
Na nich pachnidła, kremy, ręczniki, ścieraczki
Mydełka, dezodory, na ścianach glazury
Wszystko lśniące, pachnące od dołu do góry
— Czyżby tu niegdyś księżna Mostowska bywała?
— Nie... to po prostu W.C. pana generała.
— Inne przybytki w gmachu też się tak przybiera?
— Gdzie tam..., co wojewodzie to nie... etc.

Antoni Czekalski

W Indii w 1989 r. odbyła się światowa wystawa filatelistyczna. Poczta Bułgarii wydała z tej okazji dwa znaczki. Przedstawiono na nich pomnik walk o niepodległość Indii z 1947 r., stylizowane emblematy pokoju oraz ważniejsze budowle Delhi i Sofii.
Zb. Len.

Z NASZEGO KLASERA